Nr. 6. Poznań, Niedziela 6go Maja 1894 r. Rok I

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

ZNAMIENNE RYSY.

„Przegląd Poznański“ pomieścił kilka artykułów dotykających swą treścią spraw ekonomicznych i społecznych kraju naszego; wywołały one drobny deszcz odpowiedzi, z których dwie nawet rycerska redakcya „Przeglądu“ pomieściła w swych łamach.

Bynajmniej nie w polemicznych celach, lecz dla ogólnej charakterystyki stosunków, wolno na tem miejscu skorzystać z materyału, który nasuwają przeciwnicy opinij, w „Przeglądzie“ wypowiedzianych.

Przedewszystkiem niejako znamienną cechą, występującą nie tylko w tem przypadkowem starciu się zdań sprzecznych, ale i w ogóle w naszem życiu publicznem jest niechęć. Niechęć, która staje się tłem i podstawą wszelkiej akcyi zbiorowej, a często występuje także w stosunku osób do osób. Ona kieruje czynem i słowem zamiast pozytywnej myśli, ona staje się punktem wyjścia i ostatecznym celem. Niechęć tę trudno bliżej określić, — bo zmienną jest w swych przedmiotach, jak zmienne pobudki i jak różne serca jej podlegające — łatwiej objaśnić na przykładach:

Do chaty chłopskiej zbliża się szlachcic, przejęty najlepszymi zamiarami, pragnie służyć radą, gotów do pomocy do ofiar bezinteresownych, — lecz niechęć rzuca w chłopskie serce ziarno podejrzenia, zdrową radę bierze za podejście, pomoc za chęć zamydlenia oczu, w ofiarach dopatruje osobistych celów ... I uczciwe zamiary idą na marne — czas trwoni się w walce z niechęcią.

To znowu jakiś „inteligentnik“ uwierzył w możność wpłynięcia na stosunki kraju żywem lub pisanem słowem. Z wiarą w szlachectwo celu, ożywiony gorącą miłością ojczyzny, bez jakichkolwiek osobistych lub ubocznych widoków wskazuje na ropiące się rany i o pomoc woła, środki zaradcze wymienia ... — znowu niechęć, jak górskie echo stokrotnem odbiciem na wołania odpowie „nieprzyjaciel...“!

I był nieprzyjacielem Ostroróg, i Frycz Modrzewski, i Staszyc, i z niechęcią przyjęto głosy o uwłaszczenie włościan w Królestwie wołające i niechęcią płaci się do dziś dnia ludziom, którym się wydaje, że coś robić dla kraju trzeba, a którzy ostatecznie odgrywać muszą rolę „Filipów z Konopi“ jak słusznie (choć bez znajomości ducha przysłowia) orzekł jeden z korespondentów „Dzien. Pozn.“

Niechęć ta wyraziła się i we wzmiankowanej wymianie zdań z powodu artykułów „Przeglądu.“ Nie pytano: jakie cele, dobre czy złe pragnienia mieli autorowie inkryminowanych artykułów, lecz przesądzono z góry, że cele te były złe i zgubne, albo płaskie i trywjalne. Zamiast trzymać się zasady poszukiwania nawet w plewie zdrowego ziarna, postarano się to ziarno ukryć, a gdzie można, dla efektu i tryumfu niechęci — plewę zeń zrobić. Bez względu nawet na drugie przykazanie i świętość przedmiotu, wywleczono obok innych argumentów sprawę Wiary świętej, aby rzucić nią lekkomyślnie w dziennikarskie artykuły! ...

Taką jest smutna charakterystyka głównej naszej wady. Uniemożliwia ona, a przynajmniej utrudnia wszelką obywatelską działalność, z wad nawet i ran społecznych świętość czyni nietykalną, nie cofa się przed niczem — byle tryumfować.

Smutne te tryumfy klęskami poznaczyły naszą przeszłość. Każda epoka — każdy rok niemal nową walkę i nową niechęć dla śmielszych i gorętszych prądów przynosi. — A jednak — potomkowie targowiczan dziś święcą i wielbią pamięć dni majowych ... kto wie — może potomkowie nasi, nie jedną z dziś zwalczanych myśli za zdrową i szlachetną uznają!!

Lecz niechęć sama bezbronną by była — potrzebuje poparcia i silnych pleców — taktyka zatem nakazuje, aby jeżeli tylko możność po temu się nasuwa, oprzeć się w walce z nieuznanemi myślami o silne i ustalone w społeczeństwie powagi. To też drugą cechą znamienną jest, że ilekroć się wskaże jakąś wadę w ustroju — jakieś niekorzystne lub niewłaściwe pojęcia — niechętni, lub zarzutem dotknięci uogólniają takowy na cały stan lub warstwę, ogłaszając ją za zaczepioną. Pomimo, że taktyka taka niema nic wspólnego z etyką, a tem mniej prawdą, bo nikt i nigdy nikomu na seryo nie robił zarzutu z posiadania ziemi, albo z historycznego nazwiska, a ganione pojęcia i czyny odnoszą się tylko do tych, którzy je spełnili — pomimo to jednak zarzut trafia najczęściej do celu, aby z nieszczęśliwego „Filipa“ zrobić ofiarę podburzonej warstwy, niepomnej, iż ją kompromitują niefortunni obrońcy.

Czy to chodzi o „liberum veto,“ czy o podatki na skarb, — czy o zniesienie pańszczyzny — czy wreszcie o wychodźtwo, albo naukę polskiego języka — zawsze znajdą się ludzie gotowi krzyknąć: zdrada!

Okrzyk sam byłby mniej szkodliwym w sobie gdyby krzyczący nie zastawiał się powagą całego stanu, na który potem ogół — a przynajmniej nieprzychylni — odpowiedzialność gotowi są zwalić.

Śmiem na tem miejscu wyrazić twierdzenie, że połowa win, które społeczni i polityczni tromtadraci z celem lub bez celu przypisują dziś stanowi ziemiańskiemu, powstała na tej drodze t. j. przez zwyczaj jednostek zastawiania się powagą, albo interesem całego stanu — jednostek niemających ani w swej tradycyi, ani w uczuciach, materyału dla zrozumienia stanowiska i posłannictwa „pierwszych w kraju“ i ich stopnia zdolności do ofiar i ustępstw w imię zasady „pro publico bono“.

Na poparcie tego twierdzenia mógłbym przytoczyć wielką ilość przykładów, nietylko z naszej historyi, lecz także z czasów najnowszych, w których czyny solidarne albo rozproszone ziemian kłam zadały stanowisku niepowołanych obrońców, bez względu na to, czy ci ostatni oburzali się, iż ktoś chce żyć jak inni, czy szukali klucza do zrozumienia tytułu powieści (sic.) w nieprzychylnem usposobieniu dla posiadaczy ziemi — czy wreszcie jak p. Nowina ograniczali ofiarność dla kraju do przepisu miłości bliźniego — obowiązującego chrześcijan względem wrogów nawet.

Jeżeli w ogóle można przyjąć, co twierdzono, że wymiana zdań w nieludowych czasopismach może wywołać, czy podsycić antagonizmy społeczne, to omawiana taktyka byłaby najniebezpieczniejszą; bo: z jednej strony niezręcznie, zamiast słusznie lub niesłusznie zaczepionych — wysuwają na plac boju cały stan, oburzając go naturalnie na „warchołów,“ z drugiej strony rzeczywistym warchołom czyhającym na sposobność podsuwają broń w ręce i pozwalają za błędy lub niewłaściwości obrońców cały stan czynić odpowiedzialnym.

Jest jeszcze trzecia cecha znamienna, którą tu wskazać należy: rozpanoszenie się bezkarne frazesu w naszej publicystyce. Wada ta powstała na gruncie słabego ogólnie czytelnictwa i tego braku krytycyzmu przedmiotowego, który charakteryzuje poniekąd nasze usposobienie. Inaczej trudno byłoby sobie wytłomaczyć możność pojawienia się w poważnem piśmie i wystosowania do myślących ludzi takich zdań n. p.:

„Postęp w zastosowaniu do spraw społecznych zasadza się .... na przeprowadzaniu w praktyce coraz doskonalszem przykazania o miłości bliźniego .... kto postęp wyobraża inaczej, kto ewolucyę społeczną chce przyspieszyć sztucznie zniżając wyższych zamiast podnosić, ten postępowi szkodzi.“ W zdaniu tem trudno dopatrzeć głębszej myśli. Ponieważ autor przeprowadzanie postępu w praktyce uznaje w pierwszej połowie zdania, a w drugiej twierdzi, że kto chce ewolucyę „przy-

spieszyć sztucznie," szkodzi postępowi, nasuwa się logiczne pytanie: co to jest sztuczne przyspieszenie ewolucyi?! Trudno brać na seryo myśli o zniżaniu „wyższych," ale gdyby ktokolwiek nawet w tym duchu pracował, jeszczeby przez to z ram naturalności nie wyszedł — w przeciwnym razie równie słusznie możnaby odnośny artykuł „Dzien. Pozn." nazwać „sztucznem powstrzymywaniem ewolucyi. Ewolucya polega na ciągłem ścieraniu się sprzecznych czynów, myśli, słów, na ciągłej walce egoizmu z miłością bliźniego i na stopniowych w tej walce zdobyczach i zwycięztwach ducha. Sztucznem nic tu nie może być i zarówno ten, co niepozwala ludziom żyć jak inni, jak ten, co o życie to woła, obaj są tylko drobnymi i bynajmniej nie sztucznymi objawami ewolucyjnego rozwoju.

Podobny również frazes, przypominający znane orzeczenie Kalifa Omara, wyraża niedowierzanie, gdy ktoś u nas głosi „nowe drogi" i „nowe hasła," bo jeżeli te „będą rzeczywiście odmienne — w takim razie z pewnością zgubne." Czy zdanie to wytrzymuje powierzchowną chociaż krytykę? Czy zgubnem było także kiedy na miejsce zasady „oko za oko — ząb za ząb," postawiono miłość bliźniego, i kiedy na miejsce pogańskich bożyszcz krzyż na naszej niwie zajaśniał, i kiedy w miejscu pogardy dla tych co kupczą łokciem i miarą urabiało się poważanie dla przemysłu i handlu, i kiedy nowem światłem w ustawodawstwie zajaśniały słowa: „Lud rolniczy... który stanowi najdzielniejszą kraju siłę pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy..." — Każda z tych epok wywołała urągania i frazesy podobne do tych, którymi wojują dziś oponenci „Przeglądu."

Nie pragnę szukać dalej, aby niepożądanej niewszczynać polemiki. — Zresztą przytoczone przykłady wystarczą, żeby ubolewać nad niechęcią, utrudniającą nawet proste rozmyślanie o niedostatkach kraju — nad taktyką wciągania całych stanów i warstw społecznych w niezawsze słuszną obronę tych niedostatków i nad tem, że frazes zastępuje często sąd zdrowy o rzeczy.

Łodzia.



POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

Czeski „Velehrad," który miewa dobre informacye o słowianach węgierskich, pisze: „Rusini węgierscy są bardziej opuszczeni, aniżeli Serbowie łużyccy. Madziarom powiodło się już zupełnie podkopać byt narodowości ruskiej w Węgrzech; z końcem tego stulecia Rusini w Węgrzech znikną. Madziarszczyzna wdarła się do kościołów ruskich, opanowała ruskie klasztory; teologowie ruscy uczą się tylko po madziarsku, mało jest już księży ruskich, którzyby dobrze po rusku umieli. Jeszcze nie tak dawno odbywały się nabożeństwa po cerkwiach w języku starosłowiańskim, dziś już wszystko po madziarsku.

„Rusini żyją w północno wschodniej części Węgier, na południowych stokach Karpat. Naliczono ich 600 tysięcy. Znajdują się oni w sąsiedztwie z Rusinami galicyjskimi i bukowińskimi.

„Mieszkańcy żupy remplińskiej, która do XVII stólecia należała do Rusi, są dziś zupełnie wynarodowieni. Rusini tworzą tam jeszcze odosobnione tu i owdzie osady obok monasterów. Rusini węgierscy są w przeważnej części unitami, ale są także katolicy (Polacy?) i kalwini."

„Velehrad" tak kończy artykuł swój o Rusinach: „Rusini przyjąwszy w wieku XVII unię wydali sami na siebie wyrok śmierci. Jakoż zawsze odpadnięcie Słowian od prawosławia znamionuje pierwszy krok ku upadkowi i zatraceniu narodowych cech słowiańskich (?!)"

* * *

Organ Słowiańszczyzny południowej, wychodzący w Tryeście w języku włoskim „Il Pensiero Slavo," pisze o solidarności wśród Słowian południowych i Słowian w ogóle:

Dążności Słowian południowych są te same, co Słowiańszczyzny całej: jesteśmy zwolennikami unii duchowej Słowian, zbliżenia się do siebie na polu pracy kulturnej.

„Wrogowie Słowian podrzucają nam tendencye polityczne, od których dalecy jesteśmy. Nie chcemy innej solidarności jak tylko solidarności w nauce, kulturze i uczuciu (solidarietá di studio, di coltura, d'affetto.)

„Siła moralna Słowiańszczyzny objawia się w rozwoju każdego szczepu słowiańskiego. Każdy naród słowiański, pracując nad samym sobą, wzmacniając siebie, wzmacnia tem samem i podnosi znaczenie idei słowiańskiej.

„...Europa zawdzięcza światu romańskiemu wszystko to, co ma wzniosłego, szlachetnego i wielkiego. Harmonia pomiędzy tą starą kulturą romańską, a świeżą, pełną życia kulturą słowiańską, to warunek szczęśliwej przyszłości Europy..."

Dla charakterystyki opętanych moskalofilstwem „Narodnich Listów" cytujemy z artykułu „Navrat strzedovieku" co następuje:

„W tych dniach czytaliśmy w pewnym dzienniku rosyjskim, że dla Europy zachodniej nastają średnie wieki, które charakteryzuje fanatyzm i reakcya religijna. Dziennik rosyjski widzi to w tem, że klerykalizm katolicki robi przygotowania do agitacyi na tak wielką skalę, o jakiej za czasów Piusa IX ani marzyć nie śmiał. Wskazuje między innemi i na to, że w roku zeszłym urządzono zjazd eucharystyczny w Jerozolimie, który przypominał żywo narady wojenne z czasów wypraw krzyżowych. (?)

„Zwątpienie Europejczyków zachodnich, pesymizm, nie widzący nigdzie zbawienia, ani drogi ku lepszej przyszłości, przekonanie wsiąkające coraz to głębiej, że wszystkie hasła nowożytne, teorye, systemy i szkoły, w których dotąd szukano ukojenia, niczem innem nie są jak bezładnym chaosem, nakłaniają umysły do mistycyzmu, ku rzeczom nadprzyrodzonym.

„We Francyi, która zachodowi europejskiemu nadaje ton, są wszystkie naukowe kierunki w zaniedbaniu. Francuzi teraz np. nic innego nie czytają, o niczem nie mówią, jak o żywocie św. Franciszka Salezego, który w krótkim czasie zos ał rozkupiony w 300 tysiącach egzemplarzy.

„Jeżeli okiem rzucimy na to, co się wokoło nas dzieje, musimy przyznać dziennikowi rosyjskiemu słuszność. Nasi klerykałowie organizują się wszędzie, wprawdzie po cichu, ale ruchliwie. Nie ma już wątpliwości, że wkrótce wystąpią jako stronnictwo polityczne, z którem połączą się niedobitki partyi staroczeskiej, wraz z tą masą, co się kupi około „„Prażskoho Dennika"" i pism jemu podobnych.

„Klerykałowie przyjęli za zasadę, że trzeba walczyć wszelkimi środkami i sposobami, które służą stronnictwom innym. Przeciw szkole walczyć trzeba szkołą, przeciw literaturze — literaturą, przeciw związkom—związkami i tak dalej. Poganin afrykański mógłby myśleć, że klerykalizm zasługuje się środkami dozwolonymi przez ewangelią jako to: miłością, dobrocią i poświęceniem.

Społeczeństwo zachodnio-europejskie jest chorem, potrzebuje reformatorów. A tu ci, którzy z powołania poświęcili się leczeniu moralnych

---

6)

CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

(Dokończenie.)

— Panu się... wyda zabawną — i spuściła oczy — ta moja troskliwość, ale... tu zdobyła się na odwagę — obserwowałam pana przez jakiś czas i dostrzegłam w ostatnich chwilach taką zmianę w pańskich oczach, że widząc to nagłe wymykanie się po angielsku, pomyślałam, że pan musi być chory... Niech mię pan zapewni — rzekła tonem błagającym niemal, — że się mylę.

— O, zaręczam pani i dziękuję za dobrą pamięć. Poprostu — ściągnął ramiona — późno już jest, a ja mam jutro rano lekcyę. Nie chciałbym zaś robić popłochu jawnem żegnaniem się. Zapewniam panią — zakończył śmiejąc się — że jestem najzdrowszym w świecie człowiekiem... Do widzenia, przyjemnej zabawy pani życzę.

— Do widzenia, rzekła smutno, nieprzekonana bynajmniej słowami Walerego. Nastawił kołnierz fraka i chyłkiem wymknął się. Uczucie dławienia w gardle ustąpiło na chwilę wobec żalu nad biedną tą cichą adoratorką, która nie raz już dawała mu dowody swej ukrytej, pełnej uwielbienia przyjaźni. Bolesny i rozsadzający piersi gwałt w jego łonie stopniał w miększe uczucie litości, które było bądź co bądź lżejszem do zniesienia.

Wnet jednak żałość przeniosła się i do tej komórki serca, gdzie siedziała przyczajona własna wściekłość i ostudziła ją swym kojącym podmuchem. Nie czuł już potrzeby pastwienia się nad własnem ciałem, ani chciał biedz na oślep, choćby na kraniec świata, jak przedtem, lecz łykał kroplę po kropli goryczy, którą mu sączyła jasna, nieubłagana świadomość niemocy....

Teraz czuł już tylko przygnębienie; kiedy zapaliwszy świecę stanął przed biurkiem i spojrzał na swój ukochany warsztat, na bezład papierów, książek, atlasów i rysunków, zdało mu się, że stoi nad mogiłą kogoś drugiego... Pokiwał głową i trawił wyrazy, brzmiące teraz jeszcze w jego uszach, jak urąganie, jak szykana...

Silny! Gorzelski to siłacz... Gdzie się ta siła podziała i na co się zdała? Psu na budę!

Padł na fotel, ujął głowę w obie dłonie i oparł łokcie na biurku. Siedział tak nieruchomy i puścił wodze rozżaleniu. Od czasu do czasu wzruszał ramionami, jak gdyby się dziwił swemu stanowi.

„Gorzelski to siła nie lada!" — monologował. Chamy ostatnie, czy wy macie pojęcie, co jest w naturze siła i kto jest właściwie mocny?

A prawda? Gardziłem ich podłemi zabawami. Nieraz ciągnęło mię jak magnesem na wieczór, gdzie znaczyłbym więcej u kobiet, niż Gadziński lub Fikalski, lecz nie pobłażałem sobie. Chciałem być zawsze i wszędzie panem moich najgwałtowniejszych porywów...

Zaczęły przesuwać się przed nim wszystkie, a tak mnogie zwycięstwa jego woli. Hartował ją niemiłosiernie, w wiecznej obawie, że w przeciwnym razie może mu jej braknąć kiedyś, gdy wypadnie zrzec się czegoś droższego nad gorący uścisk młodej kobiety. Karyerę naukową zaczął późno, tak przynajmniej mniemał w nieubłaganej dla siebie surowości... Trzeba więc było pracować gorączkowo. Pragnął dogonić innych i ślubował sobie, że nie spocznie, póki nie dokona dzieła trwalszego. A wtedy da folgę naturze, ujętej w żelazne karby i rzuci się w wir świata. Przypomniał sobie, jak kiedyś wyszedł w połowie wieczoru u stryjostwa, gdy spostrzegł, że znajoma panna zagięła na niego parol i drażniła go swemi utoczonemi ramionami. Jeszcze teraz widzi tę pyszną barwę płatków róży wiosennej. Była królową balu... Inni wzdychali do niej, a on potrafił udawać, że jej nawet nie widzi, nie wyszedł ani na chwilę z zimnej grzeczności i całkiem wcześnie dał

chorób społeczeństwa, stawiają zasadę, chwytanie się tych samych środków, którymi walczy chore społeczeństwo! Dawniej wypędzali djabła krzyżem, teraz sami gotowi w czarta się przemienić rozumie się jeszcze czarniejszego (!)

„Nasza publiczność niestety mało poświęca uwagi akcyi klerykalizmu, której skutki sprawią światu uciśnionemu niespodziankę. Po wsiach powstają, jak grzyby po deszczu, towarzystwa, na których czele stawają księża. Księżom dany jest rozkaz, aby starali się wciskać do każdego towarzystwa.

„Głównie zwracają uwagę na związki i kasy pożyczkowe. We wschodnich Czechach działalność księży jest tak ruchliwą, że stłumiła ona ruch socyalistyczny. Niektóre publikacye klerykałów czeskich wychodzą w stutysiecznych egzemplarzach, którym w liczbie wszystkie inne wydawnictwa czeskie, razem wziąwszy, nie dorównywają. Różnica jest jeszcze w jakości, pod względem ilościowym klerykalizm wziął już górę.

„Jeżeli się u nas klerykałowie zbierają i szeregują, w Polsce trąbią już ich pobudki do boju...

„Polacy chcą za każdą cenę walczyć z Rosyą. Jest w Polsce kongresowej związek tajny, który przesyła dziennikom, wychodzącym po za granicami Kongresówki sprawozdania pisane w duchu Rosyi wrogim. Te litografowane listy, które i nam przysyłano, noszą tytuł: „„Z zaboru rosyjskiego.““ „Z początku przyrzekały one, że bez uprzedzenia będą informowały prasę o ruchu i żądaniach Polaków rosyjskich. Byliśmy im przychylni, bo i nam na tem zależało, (?) aby skargi Polaków rosyjskich, o ile są sprawiedliwemi, były znane. Atoli przekonaliśmy się, że się tam mieszczą fałsze, które niejednokrotnie dzienniki polskie same odwołują (?)

„Ów związek powstał na to, aby nienawiść Polaków katolików ku Rosyi prawosławnej rozdmuchiwać. Walkę bratobójczą Polski z Rosyą nie wywołały spory narodowościowe, ale religijne.(?!) Klerykalizm chciał przy pomocy Polski zapanować nad prawosławiem.(?!) Polacy przy klerykalizmie zapominają o dobru własnego narodu.(?!) Dla walki z prawosławiem gotowi poświęcić ostatniego człowieka, cały polski naród (sic!)

„Można nam było uważać tę rozpoczętą akcyę przeciw Rosyi za sprawę dotyczącą Polaków samych. Tymczasem tak nie jest. Oto pewien dziennik chorwacki w tę samą zadął trąbkę, określając w podobny sposób radami stanowisko katolickich Chorwatów w obec prawosławnych Serbów.

Chorwacki dziennik nazywa otwarcie walkę Chorwatów ze Serbami walką pomiędzy Kościołem wschodnim i zachodnim a z tej racyi czyni wyrzuty katolickim Serbom w Dubrowniku, że jako katolicy idą zgodnie ze Serbami.

„W każdym razie jest na czasie zwrócić społeczeństwu czeskiemu uwagę na te dążności klerykalizmu, pojawiające się dziś przed naszemi oczami. Nie są one niczem innem, jak dalszym ciągiem tego, co się wśród Słowian działo dawniej i o czem stronnice historyi wieków przeszłych nam opowiadają,“ (Rubel czy obłąkanie? p. R.)

„Narodnie Noviny,“ główny organ Słowaków węgierskich piszą:

„Nasz polityczny system jest zaiste ze sukna przeleżałego. Wszędzie pokazują się szwy... Frazesami i fantazyami nie ściągnie się go do kupy...

„Bezcelowość madziaryzatorskiego systemu w Węgrzech pokazała się już dawno tu u nas, u Rumunów i u Serbów. Nasze kraje słowackie cierpią najwięcej, kiedy właśnie potrzebowałyby najbardziej opieki ojcowskiej i rozumnych rządów. Rząd nam nie ojcem, ale ojczymem najgorszym, który gubi naród; jego dobrobyt, jego oświatę, ciało i duszę!

„Ów system sprowadził do nas wszelakich karyerowiczów, ludzi, nie mających i nie mogących mieć dla ludu naszego serca, ludzi wychowanych w zawiści ku nam ślepej. Ów system nie dozwala skrzesać najmniejszej iskierki, któraby zaświeciła w tych ciemnościach egipskich.

„System ten chwali renegactwo jako zasługę, jako patryotyzm, a wierność piętnuje i ogłasza za nieenotę. W takiej to niemoralnej, świadomie wytworzonej atmosferze, gdzie cnota nazywa się zdradą, a ta najnędzniejsza zdrada, zdrada języka, narodu, zasługą i patryotyzmem, musi się pojawić napewno rozkład i zgnilizna.

„Obyśmy Słowacy ten rozkład przeżyli! „Ale ów rozkład jawi się w ludzie madziarskim samym, który już nie wierzy dziennikarskim ewangeliom o madziarskim raju. Dowodem tego wypadki w Vasarhely.

„Ale musi być kiedy otaczany opieką najtroskliwszą chłop madziarski woła: nie jesteśmy Madziarami, nie mamy ojczyzny, nie mamy ziemi. Lud ten rzuca się na urzędy; targa podobizny Kossuta, którego niedawno ogłoszono świętym madziarskim! Jeżeli tam w bogatych dolinach bieda lud popycha do takiego zwątpienia, cóż się u nas wśród biednej ludności góralskiej odzieranej ze wszelkiego dobytku materyalnego i moralnego dziać musi!

„Burza vasarhelyska była tak wielką, że wychodzi ona z po za ram miary zwyczajnej; przelana na ulicach bogatego miasta krew, z pewnością nie stanie się oliwą uśmierzającą rozhukane fale. Rozruchy tamtejsze nie były dziełem socyalistów, bo sam rokosz podnosił lud wiejski. Do chłopów, do gospodarzy strzelali pandurzy madziarscy!...

„Czegóż tu nam spodziewać się po systemie rządowym, który chłopa madziarskiego nie potrafi ochronić przed takiem zwątpieniem!?...

Niechaj te wypadki poucza lud madziarski, że nie my Słowacy, Serbowie i Rumuni jesteśmy jego wrogami, ale renegat-szowinista, który żyje i tuczy się z intryg usnutych pomiędzy narodami węgierskiemi.

„Krzywda bije najpierw krzywdzonego, ale potem bardziej jeszcze krzywdzącego.

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

W odpowiedzi Panu „Nowinie“.

Może pozwolicie mi, że was wyręczę w daniu odpowiedzi naszemu przyjacielowi „Nowinie“ na jego polemiczny artykuł w sprawie Banku ziemskiego.

Czy „Nowina“ na prawdę sądzi, że wniesienie do izby pruskiej projektu ustawy kolonizacyjnej w marcu r. 1885 i dodany do niej komentarz byłego kanclerza rzeszy były prowokacyą tylko „szlachty polskiej,“ a szczegółowo wielkopolskiej, i że tylko na nią spadł obowiązek odpowiedzi na „szyderstwa kanclerza“ założeniem Banku ziemskiego? Gruba pomyłka! Nietylko „szlachta“ (wyrażenie autora), ale całe nasze społeczeństwo było dotknięte do żywego temi „szyderstwami“, ciskanemi pod adresem szlachty naszej. Były kanclerz dał wtedy — co prawda — wyraz nienawiści do szlachty i to dla tego, że nie potrafił jej zniemczyć, ale pamiętajmy i o tem, że niejednokrotnie nie taił on lekceważenia innych warstw społeczeństwa naszego, bo przyswoiwszy sobie opinię śp. profesora Leo o naszem biernem posłannictwie dziejowem, zapatrywał się na te warstwy, jak na „pognój dla kultury niemieckiej „in deutschen Marken“. Tyle razy składał on jawne dowody nienawidzenia jednych, a lekceważenia drugich że doprawdy ostatni chyba tylko pierwszym tej nienawiści zazdrościć powinni.

Wszyscy wyraziliśmy wówczas gotowość dania „godnej“ odprawy byłemu kanclerzowi, ale nasza odprawa ograniczyła się tymczasem na sentymentalnych artykułach prasy naszej na tematy: nie pójdziemy do Monaco, usque ad finem, itd. Przecież pobrzękiwanie skar-

---

nura, ażeby ślęczeć do rana nad pracą o ostatniem zaćmieniu słońca.

„Tak to była siła... niewątpliwie... Ale to była zarazem głupota“. Widocznie te sprężyny, które są dźwignią sławy i oklasku, kiepsko służą do szczęścia. Natura nie wiele sobie robi z przemocy, zadanej instynktom życia. Szerokie ambicye i wzloty myśli przyniosą mu nagrodę, tam w drugiem życiu... w krainie, wymarzonej, ale tutaj wiodą do spaczenia organicznej równowagi sił duchowych... Bo — pytał siebie — czyżem nie stał się istnym hebesem, nie stracił dzielności towarzyskiej? Pierwszy lepszy dureń z gębą świeższą, obrotniejszy w robieniu językiem lub wprawny w kradzeniu anegdotek, zawładnie łacniej sercem najpiękniejszej kobiety, niż ja z całą swą przeklętą siłą...

Był w swem przekonaniu słabym, sponiewieranym jak kopciuszek, odtrąconym jak maszyna do ssania abstrakcyj, dla której w kole ludzi z krwi i kości nie masz miejsca...

Choć dobry matematyk — tak rozgoryczał się dalej — przerachowałem się. Biada mi! Tak będzie już zawsze... całe owe długie lata, co mię dzielą od starości... Ba, może i wtedy jeszcze będą się ze mnie wyłaniać tęsknoty, jak żółć z wątroby, i karać mię za mą naiwność.

Nie wątpił, że tak będzie, a nie inaczej i wcale łudzić się nie chciał. Za wiele miał jaskrawych dowodów bezsilności, za dużo porażek i wstydu. Z tą pewnością musi odtąd żyć i pracować. A z jaką fantazyą biegł na górę, jak mu serce biło na widok jasnych świateł!... A przecież tak łatwo stać się mogło, że przespałby spokojnie całą noc? I na usta cisnęła mu się żałość jakiegoś poety: Pocoście mię zbudzili, tak mi dobrze było...

Uderzył się dłonią w czoło i żałośnie kiwał głową. Odjął potem ręce od skroni, oparł się plecami o poręcz fotelu i rozżalony jak dziecko, zamknął powieki, by wypuścić z pomiędzy rzęs dwie duże, lśniące jak para dyamentów — łzy.

„Gorzelski to siła!“ — znów w uszach mu zabrzmiało. I znowu dwie łzy ogromne stoczyły mu się na policzki. Pławił się w swym żalu z roskoszą. I przyłączył do niego tysiąc innych żalów, a znużenie i niewywczas dzielnie mu rozstroiły nerwy. Nawet nie próbował wziąć ich cugli w ręce. Niech broją, ile im się podoba!

Nie wytrwał jednak. Wstyd wziął górę i włożył mu w dłoń ostatni zeszyt miesięcznika. Walery udawał przed sobą, że czyta i nawet czoło odpowiednio namarszczył, ale kiedy po paru minutach wrócił z długiej wycieczki myślowej po przebytych niedawno cierniach, spostrzegł ze zdziwieniem, że przebiegł zaledwie pół stronnicy i że o jej treści wyobrażenia nie ma.

Zaczął na nowo z większem skupieniem ducha, ale martwą literę, niby rzucony z brzegu kamyk, wnet zatapiał rozigrany, wzdęty nurt goryczy. Nie było z nim rady; odłożył książkę i rozpoczął przechadzkę po pracowni, to powolną, to znów szybką, w takt uczuć pogmatwanych, ponurych i ramących, jak chwasty ostu, zalegające boki samotnego parowu....

Zatrzymał się u okna. Noc była głęboka, i cisza panowała na ulicach niezamącona. Na wprost niego, ponad dachami domów niższych otwierał się bezmierny strop nieba. Ktoś tam z niedościgłych wyżyn rozsypał po niem chropowate kamyki srebra, większe i drobniejsze, a niezliczone. Jedne z nich zatrzymały się utkwiły w ciemno-błękitnym przestworze migotliwie srebrnemi iskrami i iskierkami, inne, snać maluczkie i nietrwałe, roztopiły się w płyn i przesyciły nim strop nawskroś. I oto bezmiar lazuru przybrał ton srebrnawy, dziwnie szlachetny i subtelny, a zwłaszcza tam daleko, na samym wschodzie...

A z każdą minutą, coraz więcej grudek kruszcu topniało i rozlewało się po niebie; zostawały już tylko grubsze, a i te widocznie bladły, niebiańskie zaś tło, otaczające je, stawało się z każdą sekundą srebrniejszem...

Na ziemi światła jeszcze nie było, ale wrażliwa dusza mogła wyczuć nawet w mrokach jego bliskość. Tajemniczą drogą wślizgnęło się

bonkami, opatrzonemi etykietą: ratujcie ziemię ojczystą, uchodzić za odprawę nie mogło. W najlepszym razie był to szelest strzał armii Liliputańskiej, nie drażniący bynajmniej grubych nerwów Guliwera. Tylko na jednę jedyną zdobyliśmy się odpowiedź — i to nie w słowach, lecz w czynie. Zaledwie bowiem kilka miesięcy upłynęło od ogłoszenia ustawy kolonizacyjnej, wyręczyli nas w odpowiedzi ziemianie ci, co sprzedali na kolonizacyę Dolnik, Komorowo, Sokolniki i Swiniary. Za ich przykładem poszli inni; zaczęła się na dobre szerzyć zaraza kolonizatorska między ziemiaństwem naszem, a my patrząc na jej postępy, wyobrażaliśmy sobie, że zawitała do nas owa „dziewica z wiankiem ognistym na skroniach“, o której śpiewa wajdelota litewski, że:

„ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie.“

Dopiero wtedy, gdy ofiarą tej zarazy padli nawet i tacy, których opinia publiczna zaliczała do najdzielniejszych obywateli naszych, przyszliśmy do przekonania, że ks. Bismarck, poruczając dzieło swe opiece „Mamony“, nie zawiódł się na tem orędownictwie; natomiast doznali fatalnego zawodu ci wszyscy, co krzepili się nadzieją, że wobec pokus Mamony ziemianie nasi bez wyjątku zachowają wstrzemięźliwość Habdanka. Teraz dopiero, tj. przeszło w półtora roku po ogłoszeniu ustawy kolonizacyjnej społeczeństwo nasze założyło Bank ziemski.

Nie myślę polemizować z „Nowiną“ w kwestyi, czy ten Bank został założony wyłącznie przez „szlachtę“ i za pieniądze „szlacheckie“. Wobec faktu, dającego się łatwo sprawdzić, że Księstwo nasze zdobyło się zaledwie na dziewiątą część kapitału akcyjnego, że podpisywali akcye i ludzie, nie zaliczający się do sfer szlacheckich, nie warto wszczynać sporu o to, czy Bank ten jest dziełem wyłącznie „ofiarności“ szlachty naszej, czy też dziełem ofiarności zbiorowej... W każdym razie nasza dzielnica w owej „akcyi ratunkowej“ bardzo podrzędną odegrała rolę.

Spór nasz przenieśmy na inne pole!

„Nowina“ wychodząc z zasady, że dzieje założenia Banku ziemskiego wszystkim są znane, nie przeczuwał, że on sam ich nie zna dokładnie. Oto najjaskrawszy przykład jego nieznajomości: utrzymuje on, że Bank ziemski byłby „poronionem dzieckiem“, gdyby opatrzność, czy też los (jedno i drugie zdaje się przypuszczać) „w chwili powstania banku“ nie były spuściły na ziemię wielkopolską tablic mojżeszowych w postaci ustaw o włościach rentowych. Te ustawy miały w jego mniemaniu popchnąć Bank na tory parcelacyi. Uchowaj Boże, tak nie jest! Porównajmy daty: Ustawa o włościach rentowych była publikowana 27 czerwca 1890 r., druga, uzupełniająca, dopiero dnia 7 lipca roku następnego. Tymczasem już 29 października 1889 r. dyrekcya Banku w sprawozdaniu rocznem tak oto rozpisuje się o swem działaniu: „Stosownie do przeszłorocznych reorganizacyji Banku i zebranych doświadczeń, dochodzimy do wniosku, że utrzymanie ziemi i naprawa stosunków naszych rolniczych możebną jest prawie, jeżeli nie wyłącznie, za pomocą stanu włościańskiego. Wniosek ten wynika 1) z rozkładu materyalnego i społecznego, jakiemu podlega u nas w dzisiejszych stosunkach ekonomicznych wielka własność ziemska, 2) z zasobów, którymi włościaństwo już rozporządza“. W ślad za tą tezą ekonomiczną i społeczną komunikuje dyrekcya, że Bank zajął się parcelacyą na obszarze 4400 morgów tak w Prusiech jak i Księstwie. Pod sprawozdaniem spotykamy się z nazwiskami pp. Dr. Kalksteina i hr. Żółtowskiego. Nie można więc twierdzić, że dopiero z ustaw o włościach rentowych Bank ziemski zaczerpnął nauki; raczej odwrotnie sądzić należy. Za inicyatora procedury parcelacyjnej uważać należy pana Dr. Kalksteina, dyrektora Banku ziemskiego. On to w znakomitym pod każdym względem odczycie, wygłoszonym w lutym r. 1888 na sejmiku gospodarskim w Toruniu, wytknął Bankowi ziemskiemu drogę, po której dziś tenże z korzyścią dla sprawy publicznej postępuje.

Tyle sprostowań faktycznych!

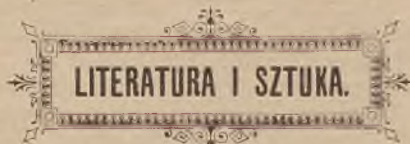
Nie wypada mi mieszać się do sprzeczki obu spółpracowników naszych. Zdaje mi się, że ów zatarg pomiędzy panami R. S. i Nowiną jest sprzeczką domową, z którego trzeci daj Boże, żeby nie odniósł guzów. Zabieram w końcu głos li tylko w kwestyi zasadniczej. Nowina zdaje się mniemać, że redakcya „Przeglądu Pozn.“ udzielając głosu p. R. S., który, sam podobno „szlachcic“, nazwał szlachtę „spruchniałym pniem“ chciała razem z nim wykrzyknąć pereat „elementowi szlacheckiemu“. Jest to wyrażenie „Nowiny“ nie moje. Co to ma znaczyć w rozumieniu „Nowiny“ element szlachecki? Czy przez to rozumie wyłącznie szlachtę herbową, czy też ogół ziemiaństwa naszego z szarym końcem ludzi o wątpliwej legitymacyi szlacheckiej? Przypuszczam drugą alternatywę. Porozumienie jest konieczne!

Pomówmy ze sobą otwarcie!

Jeżeli Dyrekcya Banku ziemskiego zaznaczyła w swem sprawozdaniu „rozkład materyalny i społeczny wielkiej własności ziemskiej“, to my świadkowie naoczni walących się fortun ziemiańskich uważamy go jako fakt służący za punkt wyjścia w programie naszym. Ale z tego bynajmniej nie wynika, żebyśmy sobie życzyli tego „rozkładu“. My tylko pragniemy, żeby z tego rozkładu nie korzystały, ani kolonizacya niemiecka, ani kapitał obcy. Żeby zaś utrzymać dziś ziemię naszą w ręku obywateli Polaków uważamy za jedyny środek ku temu osadnictwo włościańskie.

Niechaj „Nowina będzie przekonany, że cenimy bardzo wysoko prawdziwie obywatelski dom na wsi jako ognisko patryotyzmu, udzielające swego ciepła i światła najbliższemu otoczeniu. Nasza rzeczpospolita zostawiła nam w spadku, niestety tylko szlachcica i chłopa. Żeby wytworzyć pomiędzy nimi warstwę pośrednią, łączącą w sobie dodatnie właściwości obu, na to dorobek materyalny i moralny dwóch lub trzech pokoleń nie starczy. Ale to rzecz jasna — i na to zapewne zgoda między nami — że jeżeli chłop dawnej daty jest anomalią w naszem społeczeństwie, to nią jest także ziemianin świeżej daty, przerabiający się pod wpływem obcych żywiołów na pospolitego junkra. Możemy go bez uszczerbku dla dobra ogólnego odstąpić obcym — chociażby np. agrarczykom niemieckim — za darmo. Na takim eksporcie całe nasze społeczeństwo zrobiłoby niezły interes.

Dr. J. S.



ALFRED TENNYSON.

Św. Szymon Słupnik.

Jakkolwiek jestem wśród ludu najgorszym
Od stóp do głowy jednym wrzodem grzechu,
Ani dla ziemi, ni dla nieba, ledwie
Stworzon dla hufców szatanów bluźnierczych,
Nadziei łaski przecież nie popuszczę
I jęczeć będę, łkać i płakać będę
I do bram niebios przypuszczać szturm modlitw:
Zlituj się Panie! odwróć grzech odemnie!

* * *

Nie miejże za nic, sprawiedliwy, srogi,
Wszechmocny Panie, że już lat trzydzieści
Trzykroć nadludzkiem pomnożone bólem,
W głodzie, pragnieniu, spiekocie i zimnie,

---

ono i do serca Walerego i jęło rozpędzać widma i upiory nocy. Cicha symfonia nieba, wypogodzonego na spotkanie wiosny, ukoiła ból, ukołysała rozwichrzone myśli, wwiodła na nowo ład w potarganą ich przędzę. Przypomniały się inne noce podobne, z przed paru miesięcy, kiedy mroźny podmuch zimy czynił z nieba martwe, nielitościwe, chłodne szkło. Wtedy serce jęczało przeczuciem martwoty i sieroctwa. Teraz zaś wzbiera w nim jakaś rozkosz, dziwna, zagadkowa rozkosz wszechnatury, a w obec niej ostrza wewnętrzne przestają kłuć, oh, zaledwie drasną powierzchownie, prawie bezboleśnie...

Był zmęczony. Rwały go w dwie strony jakieś wrogie sobie potęgi, silne, lecz sprzeczne uczucia. Rozum zachowywał się neutralnie, wyczerpany zupełnie. Ale to pojmował wyraźnie, że ilekroć odżyła w pamięci wdzięczna twarz Murawskiej, coś we wnętrzu kwiliło, ale o ścianę głowy się bić nie chciało.

Łagodny smutek rozlewał się po całej jego istocie. Raz tylko doznał wstrząśnienia silniejszego, gdy go doleciały dziarskie, pełne animuszu i galanteryi tony mazura. Wtedy doznał znowu uczucia, jak gdyby stał nad mogiłą swej młodości, sam młody jeszcze, bah, młodszy, zapaleńszy od innych... Wtedy czuł, że tego oręża w walce z kobietą, którą daje dzielność towarzyska i płocha pewność nieprzepalonego jadem myśli temperamentu, że świeżych lic i błyszczącego oka nie wskrzesi z mogiły żadna, żadna moc...

Leniwie, powolnymi ruchami, rozebrał sobie łóżko i zaczął przygotowywać się do spoczynku; świeca się dopalała, słabiutki brzask świtu wypełniał pokój. Wodnisto-niebieskie cienie przedmiotów, a nawet samego płomyka świecy jęły rysować się na ścianach.

Mh, a gdybym nawet zawiązał romans z Runiczówną i wzniecił w niej ów gwałtowny, wyniszczający ogień doktrynerskiej miłości — to co by było?

A cóżbym miał z tego, gdyby Murawska była mi wzajemną? Taki czar pobrukać, ten spokój doskonałych, jak wcielona harmonia, kształtów popsuć drgawkami żądzy? Zajrzał w siebie samego i czuł się, w tej chwili przynajmniej, zgoła do tego niezdolnym....

I stopniowo zaczęła się krystalizować w nim idea celu i bezcelowości. Miał umysł zanadto wytresowany przez naukę, ażeby mógł nie sięgać myślą w przeszłość, nie ogarniać całego łańcucha zjawisk. Instynktowne łaknienie racyi, zasady, dostatecznej pobudki ocknęło się w człowieku, który w swym pędzie dla idei radby, ażeby dzień miał godzin czterdzieści osiem i ażeby w duszy było miejsce dla takich tylko uczuć, które są niezwalczoną potrzebą natury, albo pewnym dla ducha, własnego, czy powszechnego nabytkiem...

Uspokojony trochę, zaczął dziwić się, jakim sposobem wogóle znalazła do niego przystęp ta słabość wieczoru. On rywal — Biedackiego, on — rywal malarskiego żaka, lub aktora o mocno podejrzanym talencie? Tfu!

Splunął, podochocony nie na żarty. A kiedy wlazł pod kołdrę i przykrył się ciepło i wyciągnął wygodnie, był już i do reszty otrzeźwiony. Patrzył w świecę i filozofował.

Po jakiego djabła w facetach, jak ja, budzi się, ni ztąd ni zowąd, potrzeba miłości kobiecej? Hm! Czyżby to miało być coś w rodzaju szczątkowego organu? Mamy przecież kość ogonową bez ogona, czyż nie możemy mieć żądzy miłości bez chęci oddania się kobiecie lub skorzystania z jej ofiarowanych już względów? Jeśli mogą istnieć narządy ciała rudymentarne, to na pewno istnieją i we władzach ducha takie, które celu nie mają. Chcę posiadać siłę władania samiczką i mam to przekonanie, że może być moją, a jednak wątpię, czy kiedy bym z tej siły użytek zrobił... Zobaczę, co o tych rzeczach mówi Darwin.

Tupot mazurowy wzrastał na tle jakichś oklasków.

Bah! ale ból z obrażenia takiego organu szczątkowego duszy nie mniej jednak pozostaje bólem. Zadrżał na myśl, że ten ból ma swoją racyę przyrodniczą i pewnie nieraz się ponowi.

Śród kaszlu, kłucia, trądu, pośród kurczów,
Stojąc pomiędzy łąką i obłokiem
Na tym tu słupie cierpliwie znosiłem
Deszcz, wiatr, mróz, upał, grad, mgły, szron i śniegi,
Żywiąc nadzieję, że przed dniem dzisiejszym
Ty mnie do swego powołasz spokoju
I że dasz członkom wysmaganym burzą,
Nagrodę świętych: biały płaszcz i palmę.

* * *

Pojmij mnie, Panie: nie mam już oddechu,
Zbrakło mi szeptu, aby mózg się skarżył.
Boleść, stokrotnie większą, niż jest moja,
Stokrotnie prędzej umiałbym udźwigać,
Niźli ten gmachu ciężar ołowiany,
Co moją duszę gnie przed Tobą.

* * *

Panie!
Panie! wiesz: łatwiej znosiłem z początku,
Bom był i krzepki i zdrowy na ciele;
A choć me zęby, co mi dziś wypadły,
Dzwoniły z zimna, chociaż broda moja
W świetle księżyca lśniła się obmarzła,
Hymnów jam świętych i psalmów melodyą
Zagłuszał sowy; i nieraz widziałem,
Jako mnie anioł strzegł, kiedym tak śpiewał.
Dziś jam osłabły; koniec mój się zbliża,
Mam tę nadzieję, że bliski mój koniec;
Na pół ogłuchły, nie słyszę, jak szumi
Lud pod mym słupem, i na pół oślepły,
Ledwie to znane rozpoznaję pole;
Oba me biodra od dżdżu mi zwietrzały,
A przecież krzyczeć, jęczeć nie przestanę
Póki grzbiet sztywny będzie głowę dźwigał,
Aż kawałami nie odpadnie ciało:
Zlituj się, zlituj! oddal grzech odemnie.

* * *

Jezu! gdy nie chcesz zbawić mojej duszy,
Któż ma być zbawion? Któżże ma być zbawion?
Któż świętym będzie, gdy ja nim nie będę?
Gdzie człek, co więcej wycierpiał odemnie?
Wszelki męczennik jedną ginął śmiercią:
Ten zmarł na krzyżu, ten ukamienowan,
Tamten usmażon w oleju, innemu
Żebra na cześci dwie rozpiłowano,
A ja umieram codzień — lata całe.
Gdybym był drogę znalazł powolniejszą,
(A wszystką myśl mą wytężyłem k'temu),
Aby rozburzyć ten przybytek grzechu,
To nienawistne ciało, którem gardzę,
Byłbym nie skrócił jej — Ty wiesz, mój Boże!

* * *

Ale nie tylko karę na tym słupie
Ja ponosiłem; dawniej, kiedym jeszcze
Był mnichem! w dolinie, w tym białym klasztorze,
Nie jeden tydzień okalał te biodra
Powróz, co w górę dźwigał wiadro z zdroju,
Gruby, że ledwie węzeł związać było:
A nie mówiłem tego żadnej duszy,
Dopóki wrzody, żrące moją skórę,
Mojej pokuty nie zdradziły tajnej,
Że podziw braci ogarnął... O! więcej
Zniosłem ponad to! Boże! Ty wiesz wszystko!

* * *

Trzy zimy żyłem, aby dusza moja
Rosła ku Tobie, tam u stóp tej góry.
Prawą przykuty nogą do opoki,
Bez dachu'm leżał pośród ostrych głazów,
Otulon nieraz w lotne mgły, dwukrotnie
Od Twego gromu poczerniały, nieraz
Wyziewy mając za napój, niczego
Nie jedząc zgoła, prócz tych rzadkich darów,
Które mi ludzie przynosili, chcący
Kości się moich dotknąć, by wyzdrowieć.
I powiadali, że czyniłem cuda;
I głośną sławę mam pomiędzy ludźmi,
Żem leczył wrzody, kalectwo, paraliż:
Ty wiesz najlepiej, Boże, czy tak było.
Zlituj się, zlituj, zakryj grzechy moje.

* * *

Potem, by więcej jeszcze sam być z Tobą,
Trzy lata żyłem na słupie, sześć łokci
Mającym w górę, i drugie trzy lata
Na innym znowu, co mierzył dwanaście;
Dwa razy po trzy klęczałem znów potem
Na innym słupie o łokciach dwudziestu;
Nareszcie ciężkich, ciężkich lat dwadzieścia
Tutaj, czterdzieści łokci ponad ziemią.

* * *

Myślę, że tylem wycierpiał — jeżeli
Nie śnię — i czas już tak długi, jeżeli
Mogę czas mierzyć tem światłem leniwem
I słupa tego słonecznym zegarem —
Ach! czas tak dawny...

Teraz nic już nie wiem,
Albowiem ludzie źli, przychodząc, mówią:
„Zestąp Szymonie: zbyt długo cierpiałeś —
Cały wiek ludzki i jeden i drugi!“
I o pokutach prawią, których przecie
Nie mogłem odbyć, w błąd mnie wprowadzając
Tem kłamstwem swojem; i nieraz zapadam
Całe miesiące w taki letarg ślepy,
Że niebo, ziemia i czas z oczu giną.

Lecz pomnij, Panie! gdy Ty się radujesz
Z świętymi w niebie, a tutaj na ziemi
Kiedy nad sobą człek ma dach wygodny,
Gdy nasycony i ciepło odziany
Siedzi przy ogniu wraz z żoną, gdy nawet
Bydle ma swoje schronisko, ja za to
Pomiędzy wschodem a zachodem światła
Biję pokłony tysiąc dwieście razy
Matce-Dziewicy, Chrystusowi, świętym,
A potem w nocy, gdy się z snu krótkiego
Zbudzę, nademną gwiazdy zimno błyszczą,
A jam przemokły od tej rosy dżdżystej,
Albo od mrozów trzaskających sztywny;
Plecy me kryje twarda skóra kozia,
Żelazna obręcz wżera mi się w szyję —
Zwiędłem ramieniem krzyż podnoszę w górę
I wciąż się z Tobą szamocę, aż umrę:
Zlituj się, zlituj i zmyj grzechy moje!...

* * *

Ty wiesz, o Panie, jaki ze mnie człowiek;
Grzeszny, poczęty i urodzon w grzechach:
Ich to jest sprawa jedynie, nie moja:
Nie wiń mnie o to: Czyż ja winien temu,
Że lud tu modli się do mnie? Ha! ha! ha!
Myśli, że jestem czemś... A czem ja jestem?
Świętego widzą we mnie, tłum ten głupi
Ofiary składa z owoców i kwiatów;
A ja, zaprawdę, Ty sam bądź mi świadkiem,
Tylem wycierpiał dotychczas, o więcej,
Niźli niejeden człowiek sprawiedliwy,
Którego imię w kalendarzu świętych.

* * *

Grzech, dobrzy ludzie, klęczeć tak przedemną.
Cóż uczyniłem, by zasłużyć na to?
Niźli wy wszyscy, większy ze mnie grzesznik,
Możem uczynił jaki cud; z kalectwa
Możem uleczył niejednych; cóż z tego?
Być może, żaden pomiędzy świętymi
Tyle nie cierpiał, ile ja; cóż z tego?
Ale nie wstajcie, patrzcie w me oblicze,
A patrząc we mnie, klękajcie przed Bogiem!
Czy jest pomiędzy wami człek kaleka —
Dana mi, przecie, pewna władza z niebios
Za tę pokutę tak długą — niech powie.

* * *

Ja go wyleczę! . . . Idzie ze mnie siła;
Oto ci mówią, że są wyleczeni!
Och! posłuchajcie, jak wołają na mnie:
„Święty Szymonie Słupniku!“ Przezemnie
Bóg zbiera żniwo, gdy tak jest! Ma duszo!
Bóg zbiera żniwo przez ciebie! Czyż mógłbym
Spełniać te cuda i nie być zbawionym?
O nikim tego nie słychać . . . Świętymi
Zawsze ci byli . . Nic może inaczej
Stać się, jak tylko, że będę zbawiony;
Koronę świętych otrzymam . . . „Patrzajcie!
Oto jest święty,“ tak wołają ku mnie,
I z góry cichy głos mnie świętym zowie . . .
Odwagi, święty Szymonie! Z poczwarki
Promiennych skrzydeł para się wybija
I coraz bardziej i bardziej i bardziej
Rośnie nadzieja przed śmiercią, że z księgi
Mego żywota Bóg pamięć wymazał
Wszelakiej winy . . . .

* * *

O dzieci! me dzieci!
Ja Szymon z słupa śród ludzi z przydomkiem
Słupnika znany; ja, Szymon, do śmierci;
Strażnik na tej tu kolumnie; ja, Szymon,
Któremu promień słońca mózg wypala,
Którego łyse czoło lśni się w nocy
Nienaturalną od szronu siwizną;
Ja, z tego tutaj gniazda mej pokuty
Wołam, że Poncius z i Iskariot przy mnie
Są jak przeczyste Serafy! Na węglach
Leżałem, grzechu przepełne naczynie,
Podemną całe kotłowało piekło,
Czarci szarpali za rękaw, Abbadon
I Asmodeusz, rwąc się ciągle ku mnie.
Jam ich odganiał krzyżem — powracali!
Jak straszne małpy, gniotły pierś mi w łóżku,
Gasili światło, gdym czytał; ich larwy
Wciąż się cisnęły między mnie a książkę.
Rżeniem — jak konie — i kwikiem — jak wieprze —
Gdym chciał się modlić, przerywali modły!
I ta mi tylko pozostała droga,
I na tej drodze ja od nich uciekłem,
Martwiąc swe ciało batogiem i cierniem;
Jak ja, nie dając folgi biczowaniu,
Jeśli możecie, módlcie się i pośćcie
Cały post wielki. Cichymi ja kroki,
Drżącymi kroki, śród cierpień nadmiernych
Ledwiem się wyrwał z tej otchłani ognia,
Co jeszcze syczy mi w uszach. Lecz za to
Nie sławcie wy mnie! Jeden Bóg w swej łasce
Uczynił ze mnie, śród wielkich i możnych
Naszego świata, przykład dla człowieka,
Że mało takich coby mnie dosięgli.
Nie chcę ja mówić, ale czas się zbliża —
U progu życia już, już jego kroki —
Mówią, że czas ten stoi u bramy,
Gdzie się wam do mnie będzie modlić wolno;
W waszej — bo ziemi złożę kości moje,
A wy w rzeźbionej zamknijcie mnie skrzyni,
I wonne światło palcie nad mym prochem,
Gdy policzony będę między świętych.

* * *

Gdym to powiedział, ból najokropniejszy
Przeszył me wnętrze i coś, niby chmurę,
Zaciągło lotem na me ciężkie oczy
Grubą powłokę . . . koniec! koniec! koniec!
Z pewnością koniec! Tutaj, co? Jakowaś
Postać, cień jakiś, jakiś światła przebłysk!
Czyliż to anioł przyniósł mi koronę?
Chodź, święty bracie, chodź, o chodź . . . znam twoje
Lica promienne! Zbyt długo czekałem —
Skroń ma gotowa. Cóż to? Ty odmawiasz?
Nie, bliżej, bliżej! Mam ją, mam, o Chryste!
Znikła; jest znowu; korona! korona!...
Stosowna dla mnie, jak stworzona dla mnie,
A z niej naokół rajskie płyną rosy,
Wonne, przewonne! spikanard i balsam!
O święci moi, nie zaszydźcie ze mnie,
Bom czysty umieram, i gotów do nieba.

* * *

Powiedźcie, jest-li kapłan, człowiek boży
Pomiędzy wami, niechaj się tu zbliży
I niech do słupa przystawi drabinę,
Do mej powietrznej niech wnijdzie siedziby
I przenajświętszy poda mi sakrament!
Mówię natchniony, przez Ducha świętego,
Mówię wam naprzód, że umrę tej nocy,
Ćwierć przed dwunastą . . .

A Ty, Panie Boże,
Miej tych prostaków w opiece; niech sobie
Przykład tu wezmą: niech dążą do światła . . .

Z oryg. przeł.
Jan Kasprowicz.

Nakrył się kołdrą po same czoło, ażeby spłoszyć dreszcz, który odbywał w tej chwili wędrówkę po wszystkich jego członkach. Nogą ściągnął koc, zwisający z poręczy łóżka. Teraz było mu ciepło... Był w lesie... chciał objąć jakieś szerokie, niemożliwie szerokie pnie... bah, toć one pęcznieją niesłychanie, no, . i jakby uciekają.

Drzemał i zcicha chrapał. Nagle otworzył oczy i ciekawie nadstawił ucho, ktoś jęknął cicho, boleśnie, rozdzierająco.

Któż to może być? — zaczął wytężać umysł wzruszony do głębi i przestraszony. A prawda! W miarę wracającej świadomości, przypomniał sobie, że to on sam ma ten zwyczaj rozpoczynania snu jęczącą, jak dusza pokutnika uwerturą.

Słuchem łowił jeszcze ten jęk i litował się jakby nad skargą, wyszłą z piersi drugiego człowieka...

Zasnął po raz drugi. Znowu go jęk obudził. Ale teraz Walery już się nie dziwił, lecz mruknął do siebie pod nosem:

Małpa!

Odwrócił się na bok prawy i zasnął twardo.

EDWARD ROD.

Szwajcarya przyczynia się od dawna do umysłowego ruchu Francyi. Nie mówiąc nawet o Rousseau, którego potężne piętno zaznaczyło się na historyi i kierunkach całego świata, wielu bardzo ludzi znanych w literaturze francuzkiej, pochodzi z ościennych jej kantonów szwajcarskich. Do takich należy Edward Rod, którego niepodobna pominąć, gdy idzie o scharakteryzowanie ruchu obecnej doby.

Urodzony w kantonie Vaud w r. 1857, posiada on nad Francuzami wyższość wszechstronniejszego wykształcenia; już to samo, że jako Szwajcar znał języki niemiecki i włoski, stanowiło dla człowieka poświęcającego się literaturze, szansę powodzenia.

Studya swe kończył Rod w uniwersytecie berlińskim, gdzie chodził na wydział filozoficzny i zaraz udał się w r. 1879 do Paryża, gdzie został współpracownikiem poważnych czasopism

jak „Temps“, „Journal des Debats“, „Revue des deux Mondes“ i kilku innych, które odczuwały brak ludzi znających literaturę i stosunki zagraniczne. Wówczas to zapoznał się z Bourget'em, z którym kolegował w redakcyi „Parlement“ i z którym przy daleko mniejszym talencie posiada pewne wspólne cechy. Ci dwaj autorzy wzajem wpłynęli na siebie. Rod skorzystał od Bourget'a podejmując poważniejsze zadania psychologiczne. Bourget w stylu i manierze przejął się impresyonizmem Rod'a.

Na początku swego zawodu, Rod pisał prócz artykułów dziennikarskich, krytyki, studya i nowele, te ostatnie bardzo słabe.

Powołany w r. 1885 na katedrę literatury porównawczej do uniwersytetu genewskiego, porzucił Paryż, z którym jednak zachował ścisłe stosunki. Jako profesor, Rod nie odznacza się się ani wielką swadą, ani głębokością poglądów, ani zgoła żadną wybitną cechą, jest to przeciętny przyzwoity badacz, zaznajamia słuchaczów z arcydziełami literatury, zachwala je zwykle nie motywując swych sądów, nie porywając zapałem lub przekonaniem.

Już to w Rod'zie próżno szukać zapału, albo gorących przekonań. Jest to autor chłodny i zręczny, bada pilnie smak publiczności i umie się do niego zastosować. Talent zastępuje pracą, wytrwałością, może nawet przemysłem, w czem mu dopomaga znajomość obcych autorów i chęć dojścia do sławy. Odbija się to w jego utworach, czyniąc je mdłymi, bezbarwnymi.

Wobec tego rodzi się pytanie, jakim sposobem Rod, zyskał sobie wielki rozgłos w kraju, w którym powtarzają chętnie: „Prócz rodzaju nudnego, wszystkie są dobre.“ Od czasu jednak, gdy Voltaire wypowiedział te pamiętne słowa, tyle rzeczy zmieniło się we Francyi, iż z pewnością nie poznałby on ani swojej ojczyzny, ani współziomków. Wszakże symbolizm, a nawet impresyonizm literacki, stoi w zupełnej sprzeczności z tym zdrowym sensem, rozsądkiem i racjonalizmem, które Francya posuwała niegdyś do ostatecznych granic.

Ażeby znaleść wyjaśnienie dla Rod'a i całej szkoły, do której należy pokrewieństwo moralne w literaturze francuzkiej, trzebaby się cofnąć aż do czasów hotelu Rambouillet. Jak jego władczyni oddziaływała przesadnym wykwintem, przeciw grubym obyczajom chwili, tak obecnie odbywa się reakcya przeciw wybrykom naturalizmu.

Pierwsza książka Rod'a „La course à la mort“, którą sam zatytułował powieścią, w braku właściwszej nazwy, wyszła w r. 1885 i wywołała oburzenie krytyki — wiadomo, że podobna krytyka często daje powodzenie. Nazwano ją jednogłośnie katechizmem pesymizmu. Bohater trzyma się ściślej od Werther'a zasady, iż nic na świecie nie warte jest ludzkich zabiegów. Miłość jego jest marną, tyle myśli i przemyśliwa nad jej charakterem, że w końcu serce jego schorzałe, bezsilne, nie może się na nią zdobyć.

Podobnych bohaterów mamy w ostatnich a nawet i dawniejszych czasach bardzo wielu. Nie mówiąc nawet o Wertherze, Ortisie, Adolfie, Obermanie i René, w których pesymizm przybiera charakter gwałtowny, nie mówiąc o bohaterze „Spowiedzi dziecięcia wieku“, mamy w naszej własnej literaturze stokroć dosadniej przedstawiony podobny stan psychiczny w Płoszowskim Sienkiewicza. Autor sam w przedmowie do dalszych wydań, tłomaczy się, iż pesymizm leży we krwi i nerwach dzisiejszego pokolenia, iż nie zapożyczył głównej myśli swej książki, ani u Leopardi'ego, ani u Schopenhauera, ani u Hartmana i ma słuszność. Jednakże w literaturze skandynawskiej spotykamy utwór bardzo blisko spokrewniony z „Course à la mort“, utworem tym są „Znużone dusze“ Arne Garborga. Tylko napisany on jest z większym daleko talentem i prawdą. Skandynawski bohater Garborga jest zrozumiały, gdy tymczasem bezimienny autor pamiętnika, skreślonego przez Rod'a to jakiś sztuczny wytwór teoretycznego zrozpaczenia, które zarysowywa się na tle purytańskiej hipokryzyi genewskiej. Genewczycy bowiem są nieubłagani pod względem niektórych form, a chociażby tylko pozorów, Rod zaś ubiegając się o katedrę w uniwersytecie, musiał ich wyobrażenia szanować. Jego bohater więc nie popełnia żadnego czynu, grzeszącego przeciw moralności, lub nawet formom przyjętym. Jego zrozpaczony jest pod każdym względem przyzwoity, nie uwodzi kobiet, nie szuka odurzenia w gorących napojach, zazdrości tylko ludziom zblazowanym, bo ci przynajmniej przesycili się tem, co posiadali na świecie, gdy on ma wstręt do wszystkiego, czego nigdy nie użył. Przytem lęka się śmierci w taki sposób, że myśl zniszczenia zatruwa mu każdą chwilę i tym ostatnim rysem, przypomina znów smutnego bohatera Zoli w „La joie de vivre“ tak zdenerwowanego, że niepodobna mu znieść samotności, w której napada go przerażenie, a śmierć staje w oczach ze wszystkiemi okropnościami, jakiemi wyobraźnia przyoblec ją może.

Bezimienny bohater Rod'a nie doznaje tak gwałtownych lęków ani wzruszeń, bo niezdolny jest do jakichkolwiek silniejszych uczuć i wrażeń. W rzeczywistości człowiek podobny, któremu każdą pracę z ręki, a każde uczucie z serca wytrąca myśl o bezużyteczności wszystkiego, co ludzkie, zatopiłby się w zupełnej apatyi. Tymczasem bohater Rod'a zapisuje skrzętnie swoje wrażenia, a raczej brak wrażeń w pamiętniku i rozwodzi się w nim nad swoją smutną dolą. Przedstawiciel „Znużonych dusz“ Garborga, zdaje sobie sprawę dokładną ze swojej moralnej choroby, pragnie się ratować. Dziennik służy mu do orjentowania się we własnym stanie, do sprawdzenia tego, co mu szkodzi, a co służy. Rzuca się on we wszystkie ostateczności, chce się ożenić, waha się nawet pomiędzy kilku kobietami, do jednej ciągną go zmysły, do drugiej rozsądek, do trzeciej serce. Właśnie romans z tą ostatnią, odnajdujemy żywcem w „Course à la mort“. Bohater Garborga nie może jednak zdobyć się na postanowienie, chcąc się zagłuszyć pije, aż w końcu wyczerpany, zdenerwowany do ostatka, kończy samobójstwem.

Charakter i epizody są tu zrozumiałe, mamy do czynienia z człowiekiem realnym, gdy tymczasem Rod utworzył postać bezcielesną, wypchaną doktrynami, która służy autorowi do wypowiedzenia pesymistycznego nastroju.

Pesymizm był tylko punktem wyjścia autora, bo już w następnej książce „Le sens de la vie“ odpowiada sam sobie i znajduje racyę i możliwość bytu, w cichem kole rodzinnem.

Koło to jednak jest tak zacieśnione, szare, smutne, samolubne, tak pozbawione wszelkich aspiracyj i poczuć, iż litować się trzeba nad ludźmi, którzy w ten sposób życie rozumieją. Przytem tak samo jak w „Course à la mort“ sam bohater, jego żona i dziecię, są wszyscy bezimienni, o co mniejsza, bo człowiek bez etykiety obejść się może, ale postacie te są wprost pozbawione osobowości, wyglądają jak marne cienie, którymi zainteresować się niepodobna, bo nie mają ani charakteteru, ani wyraźnych konturów, ani nawet tych cech ogólnych, któreby nadały im typowe znaczenie. Możnaby ten sposób pisania porównać z metodą Maeterlincka, który także stara się nadać jak największą cechę abstrakcyi swoim postaciom, ale podobieństwo tutaj jest czysto powierzchowne. Maeterlinck przedstawia swych bohaterów w akcyi, na scenie, w chwilach, przelotnych, które odkrywają głębie dusz, gdy tymczasem Rod, nie wybiega po za szary świat codzienny i powierzchowne uczucia.

W następnej swej powieści „Trzy serca“, przedstawia on zawsze tego samego, nieokreślonego i niezdecydowanego bohatera. Tym razem bohater posiada imię. Ryszard, szczęśliwy mąż i ojciec, przypomina sobie nagle, iż życiu jego brakło dotąd namiętności, a szkoda byłoby zestarzeć się, nie poznawszy jej palących rozkoszy i cierpień. Naturalnie serce w ten sposób przygotowane do pokus, spotkać je musi. Pokusy to jednak marne, jak kobiety, które się o serce Ryszarda ubiegają, jak to serce samo, niezdolne ani kochać, ani wytrwać. Miłość Ryszarda waha się między podejrzanego gatunku amerykanką, a jedną z przyjaciółek swej żony. O niedołęstwo uczuciowe Ryszard obwinia przecież nie samego siebie, ale wiek analityczny, który wyziębia i wszystko rozkłada na pierwiastki. Jest to wieczne narzekanie bezsilnych, którzy świat cały sądzą według swojej normy i nie wierzą, by w innych istniało to, czego sami odczuć nie zdołają.

Ostatnie słabe iskry namiętności gasną w Ryszardzie, powraca do żony i obowiązków domowych, a życie wlecze się dla niego dalej szarem korytem codzienności, nie dla tego, by życie zamknięte w domowem kole było samo przez się szarem i bezbarwnem, ale, że takiem mu się wydaje, takiem czyni go zasklepienie się w samolubstwie, odrzucenie szerszych obowiązków, których istnienia wszyscy bohaterowie Rod'a nie domyślają się nawet.

Z naszego stanowiska, produkcye genewskiego profesora, zasklepionego w rozpatrywaniu własnej osobowości, czynią wrażenie pracowicie badanej nicości, która się niczem oddźwięknąć nie może, tem bardziej, że autor nie zdaje sobie sprawy ze swego ulotnego stanu i nie posiada talentu, któryby w tę bezbarwną treść wlał życie. Były to daremne usiłowania impresyonizmu w literaturze, bo brakło autorowi wirtuozostwa, któreby mu nadało znaczenie.

W ostatnich utworach dopiero „La sacrifiée“, „La vie privée“ i „La seconde vie de Michel Teissier“ Rod wszedł na inną drogę, zmienił nie metodę, ale treść swoich utworów i przeszedł do tak zwanych romans à thèse. Można powiedzieć, iż pod tym względem wpłynął na niego Bourget, lub przynajmniej rozgłos zyskany „Uczniem“. Rod zapragnął także przedstawiać problematy psychologiczne.

W „La sacrifiée“ bohaterem jest znakomity lekarz, pozbawiony wiary, który jednak postępuje drogą nieskazitelnej uczciwości, rządząc się wskazówkami własnego sumienia. Przychodzi jednak na niego chwila próby, w której te wskazówki okazują się niedostateczne. Doktor znajduje się w drażliwem położeniu, kocha on żonę swego przyjaciela, nieszczęśliwą w małżeństwie, i pomimo purytańskiej cnoty ukochanej, odgaduje iż wzajem posiadł jej serce. Położenie wikła się chorobą przyjaciela i utratą przez niego władzy i mowy. Choroba ta groziła mu oddawna, więc jeszcze za dni zdrowia wymógł na doktorze przysięgę, iż gdyby kiedy w nią popadł, on jako przyjaciel skróci jego cierpienia za pomocą morfiny i nie dozwoli by stał się ciężarem dla najbliższych, pośmiewiskiem dla obojętnych.

Lekarz przysiągł bez wahania: ewentualność była daleką, nie był jeszcze zakochany, a żądanie ze swego punktu widzenia uważał za słuszne. Skoro jednak przychodzi do spełnienia obietnicy nie może się odważyć, bo śmierć przez niego zadana usunęłaby zaporę pomiędzy nim a ukochaną: czy więc wolno mu to uczynić? Pytanie nie daje mu pokoju. Zdaje mu się, że widzi trwogę w oczach chorego, ile razy się do niego zbliża. On zapewne pamięta swoje żądanie i lęka się, by nie zostało spełnione, woli może to życie bezwładne, które zdrowemu wydawało się tak strasznem, od straszliwszej jeszcze śmierci.

Długo bardzo lekarz walczy z sobą, aż wreszcie zwyciężony śmiertelnem znużeniem ukochanej, która traci zdrowie, pielęgnując chorego, decyduje się na użycie morfiny. Doza okazała się zbyt silną i paralityk nie obudził się więcej, a doktor sam sprawy sobie zdać nie umie, w jakiej mierze przyczynił się do jego śmierci. Czy śmierć tę spowodowała choroba, czy też jego wina?

Wątpliwości drażliwego sumienia, stają się w końcu taką męką dla winowajcy, że porzuca ukochaną kobietę i resztę złamanego życia używa na pokutę i pożytek bliźnich. Tym sposobem tytuł jest najzupełniej usprawiedliwiony. Poświęconą jest tu najzacniejsza kobieta, która nieszczęśliwa w pożyciu nie skarżyła się nigdy, wiernie spełniała ciężkie obowiązki, miłości swej nie wyznała i opuszczoną została, gdy miała prawo zaufać szczęśliwej przyszłości.

Bohater okazał się niemiłosiernym nietylko dla samego siebie, ale i dla kobiety niewinnej, a cierpiącej wespół z nim. Czy było to sprawiedliwe? Pytanie takie powstać może w myśli

zytelnika, nie mniej twardy charakter lekarza, pisany jest w ten sposób, iż zrozumieć można ego postanowienie, a nawet uczuć, iż stosownie o swego charakteru, nie mógł postąpić inaczej. Jest to najlepszem świadectwem dobrego akreślenia postaci. Autor rzeczywiście trafił a pomysł szczęśliwy, na zawiłe psychologiczne adanie, a to samo już nadało oś luźnym romyślaniom, zapełniającym dotąd jego dzieła. Nie ma jednak w „Poświęconej" tego, czego rzywykliśmy żądać od powieści, ruchu i akcyi, e właśnie tych pierwiastków wyrzeka się zkoła impresyonistów. Co ważniejsze przecież, rak tu tej siły talentu, co zmusza czytelnika ć za autorem i przejąć się jego dziełem, bez zględu na metodę.

W najnowszych swych powieściach „La vie rivée" i „La seconde vie de Michel Teissier" od przedstawia także problemat moralny, ale wiązał go ze sprawami społecznemi.

(Dokończenie nastąpi.)

Walerja Marrené-Morżkowska.

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

II.

lementyna z Tańskich Hofmanowa.

(Dokończenie.)

Do tego sądu jednak wielkiej wagi przyiązywać nie można: jest rzeczą wielce prawdoodobną, że raczej ze słyszenia niż z osobistej najomości ten rodzaj kobiet oceniała, a i w zeciwnym wypadku nawet, pogląd jej mógł ć niesprawiedliwym, i na uprzedzeniu opartym, dyż mimo właściwego sobie rozsądku i umiarowania, psychologicznych zdolności nie posiaała widocznie. Dowodzi tego choćby jej zdae o charakterach kobiet, w których wprost nie idzi różnic, odcieni, a nawet zasadniczych rzeczności. „My wszystkie prawie podobne stęśmy do siebie, mówi, znać dobrze dwie lub zy kobiety, jestto zarazem znać siebie i wszykie, o ile ta znajomość pożyteczną dla nas być oże. W ostatnich słowach tego zdania zayka się również rys charakterystyczny umysłu ańskiej. Czy o naukach, talentach, czy nawet cnotach mówi, zwraca uwagę przedewszystkiem bezpośrednią ich użyteczność: zmysł prayczny przenika wszystkie jej wskazówki i rady, e zagłębia się nigdy w filozoficzne rozumoania, nie unosi się ponad poziom codziennych oświadczeń, lecz bacznie i trzeźwo obserwując stępne sobie życiowe fakty, z nich wprost yprowadza wnioski, dzieląc wszystkie ludzkie dolności i popędy na potrzebne i szkodliwe, żyteczne i nieużyteczne, na takie, które się rzydać mogą, i na takie, które się na nic nie adzą. Jestto troszkę gospodarski sposób ronowania, ale w zakresie życia, który Tańska zrokiem swym obejmowała dla istot przeciętch które jedynie zrozumieć mogła, a które adź co bądź znaczną większość stanowiły, a oże i dziś jeszcze stanowią. — w zwykłych arunkach może być zupełnie wystarczającym, onieważ z góry zakreśliła kobiecie bardzo ograczone pole działania i na drugorzędną, pomoiczą rolę ją skazała. — zaleca jej też przeewszystkiem te cnoty, które w jej położeniu częśliwą i użyteczną uczynić ją mogą. — Nieodległość chwalebna u mężczyzny, dla kobiety lko źródłem nieszczęść być może, ostrzega ż wychowanki swoje, aby żadna z nich nadzwyajną nie pragnęła być istotą, nie dążyła do ynoszanie się nad płeć swoją, spełniania nazwyczajnych czynów i niepospolitych ofiar" — szystko to nazywa urojeniami i zbytecznemi otami, które albo do zaniedbania cnót zwyajnych i koniecznych, albo do nieszczęść prowaą. Drogę mierności uważa za najbliższą do szczęia, we wszystkiem też mierność najgorliwiej leca. — Największy nacisk kładzie na najbliżc, najświętsze powinności kobiety jako córki, ony i matki. Uczucia rodzinne, zatrudnienia omowe, zajęcia gospodarskie pierwsze miejsce jej życiu zajmować powinny, — z cnót, te pod innemi rozwijać zaleca, które ją w życiu dzinnem miłą i szczęśliwą czynić mogą. Choć pozorów nie przywiązuje nadzwyczajnej wagi, jednak nakazuje usilnie dbać o strój, powierzchowność, dobre ułożenie, sądząc, iż wszystkie te zewnętrzne zalety w kobietach wysoko cenione bywają. Jakkolwiek sama silny pociąg miała do książek i nauk, liczyła się jednak z opinją większości ośmieszającej uczone niewiasty, i mówiąc o wykształceniu kobiet zaleca im nieustannie, aby skromnością swą, słodyczą i umiarkowaniem dowodziły, iż nauka bezkarnie udzielaną im być może. Stanowczo broni im nadmiernego oddawania się książkom, i nawołuje w tym względzie jeszcze gorliwiej niż zwykle do umiarkowania, jednakże uznaje za rzecz słuszną, — a nawet konieczną, aby dziewczęta po ukończeniu edukacyi, poważnem — systematycznem czytaniem, wiadomości zdobyte uzupełniały. W tej epoce życia odradza im stanowczo czytanie romansów, z których się nic nie nauczą, gdyż w nich nic prawdziwego nie ma, i ponad literaturę piękną stanowczo wyżej stawia lekturę naukową, choć w pewnym tylko dla kobiet stosownym, a zatem zgodnie z jej poglądami dość ograniczonym zakresie. I tu znowu przebija zmysł praktyczny p. Tańskiej: „każdej nauki celem winna być użyteczność mówi: „niech we wszystkiem u nas mniej teoryi, a więcej praktyki będzie, a rozdzielając nauki na potrzebne i niepotrzebne kobietom, wypowiada takie zdanie: „Nam przy zwykłym braku tęgości umysłowej, nie przystoi zagłębiać się w rozumowania, zatapiać w rozpamiętywaniach," a dalej, „Dzięki niebu, że nam niepotrzebne nauki w których wysycha dusza: — algebra, fizyka — chemia." Wyliczając jednak nauki potrzebne kobietom, i kładąc w pierwszym rzędzie historyę, geografię, mitologię, historyę naturalną, dodaje jeszcze: Znajomość jaknajobszerniejsza cudów i dziwów przyrodzenia, lekkie wyobrażenie astronomii — chemii, fizyki," co brzmi dziwnie sprzecznie ze zdaniem poprzedniem, na tejże stronicy wypowiedzianem, i z innem bardzo słusznem zresztą: „że lepiej mało umieć, a gruntownie, niż wiele rzeczy powierzchownie poznawać." Złośliwy przypisałby tę sprzeczność owemu: „brakowi tęgości umysłowej", do którego się Tańska wraz z całą płcią swoją przyznaje: choć z drugiej strony uwzględnić należy niedostatki własnego wykształcenia i epokę, w której znajomość nauk przyrodniczych w ogóle bez porównania mniej rozpowszechnioną była niż obecnie. W dalszym ciągu jej rad i wskazówek dość ciekawe i charakterystyczne są uwagi, które Tańska o miłości i małżeństwie wypowiada. W przeciwieństwie do sentymentalnego nastroju poprzedniej epoki, miłość przedstawia jej się jako rzecz niekoniecznie kobietom potrzebna, i będąca częściej zgryzot, niż szczęścia źródłem." „Dobra matka" nie pragnie jej dla Amelii, wolałaby aby rozsądek — szacunek i zaufanie do szczęścia małżeńskiego utorowały jej drogę, a jakkolwiek przyznaje, że „prawdziwa miłość" także do owego upragnionego portu doprowadzić może, to jednak zapewnia swą córkę, że nie zaznawszy jej wcale, zupełnie szczęśliwą być może, i nie ma prawa nad losem swym ubolewać. Wyklucza jednak autorka nasza wszelkie inne w praktyce dość częste do małżeństwa pobudki: interes, chęć zabezpieczenia swego bytu, przymus rodzicielski. W poglądach na stosunek rodziców do dzieci, w ogóle dość znaczny w przeciwstawieniu z dawniejszymi zwyczajami widzimy u Tańskiej postęp. Nie mówi tyle o rozkazach ile o radach rodzicielskich, i zwykle rodziców najlepszymi przyjaciołmi dzieci mianuje. W tym względzie ulegała wpływowi zwyczajów cudzoziemskich, które zdaniem jej zbyt wielką poufałość między starszem i młodszem pokoleniem wprowadziły. Co się tyczy małżeństwa zapatruje się na nie bardzo poważnie, i nie radzi go zawierać zbyt wcześnie. Utrzymuje, że młoda 17 lub 18 letnia panna, do spełniania obowiązków żony, matki, gospodyni dostatecznie przysposobioną być nie może: a choć w małżeństwie widzi jedyne i najświętsze przeznaczenie sobie kobiety, jednak ulegając zapewne właściwej sobie chęci godzenia wszystkich z losem, i łączenia pożytecznego z przyjemnem, chcąc zapobiedz przedwczesnym związkom mówi dalej: „że niema się do czego spieszyć, gdyż najszczęśliwsze nawet małżeństwo trudnem jest jarzmem."

Naturalnie wymaga od kobiet, aby kochały swych mężów; — niechętnie jednak patrzy na to, gdy miłość swą okazują przed ślubem. „Głosić miłość, przyznawać się do niej, nigdy żadnej kobiecie nie wypada" mówi. Radzi jednak pannie wybierać takiego męża „o którym wie, że go pokocha, gdy jej wolno będzie oddać się temu uczuciu" co znowu nie bardzo zgadza się z jej twierdzeniem, że żadna panna kawalera przed ślubem dobrze poznać nie może, — gdyż wyłącznie dobre jego strony przed nią się później odsłaniają. Widocznie liczy w tym względzie dużo na dobrą wolę, uległość, cierpliwość, a wreszcie na ten zupełny brak krytyki w zapatrywaniach na mężczyzn, którym odznaczają się wszystkie jej pisma. Zresztą z samego sposobu rozumowania Tańskiej, z właściwego jej wnioskowania, ze szczegółu o szczególe, wynika brak logiki i konsekwencyi w rozumowaniach. Utrzymuje naprzykład, — co już jest bardzo postępowem na owe czasy zdaniem, że narzeczeństwo powinno trwać jaknajdłużej, że epoka, którą nowicyatem małżeńskim nazywa — że epoka ta, służyć powinna do wzajemnego poznania się młodej pary. Zaleca więc narzeczonym otwartość, szczerość w postępowaniu, zaufanie, twierdzi nareszcie, że gdyby się ten czas próby nawet i zerwaniem miał skończyć, to i to byłoby pożądanem, gdyż lepiej rozczarować się przed ślubem niż po ślubie. Przy tem powołuje się na przykład Niemców i Anglików, i mówi, że gdybyśmy go naśladowali może mniej byłoby niedobranych małżeństw i rozwodów. Wszystko to bardzo dobrze, — ale jak pogodzić ów nowicyat małżeński i zaufanie, z zakazem objawiania miłości, i z tą notoryczną dla autorki niemożnością istotnego poznania się w epoce — małżeństwo poprzedzającej?

Prócz obowiązków żony i matki, które naturalnie najświętszemi i najważniejszymi mieni i bardzo rozumnie nieraz określa, wspomina też Tańska i o obowiązkach obywatelki. Te ostatnie naturalnie uwzględnia tylko w dość ograniczonym zakresie: jednakże przyznać należy, że nawe w tych ciasnych spełniane granicach, mogły niejedną współczesną kobietę podnieść i uszlachetnić. W ogóle uważa ona za rzecz konieczną, aby kobiety znały stan spraw publicznych, położenie swego kraju i jego stosunki, nie dla tego wprawdzie, aby w tych kwestyach głos zabierać, do polityki lub rządów mieszać się miały, gdyż to, ma się rozumieć „nie wypada." „nie przystoi," ale dla tego, aby mężów swych rozumieć, ocenić, do dobrego zachęcać mogły, aby na synów odpowiednio wpływać umiały. Do obowiązków obywatelskich zalicza również zakładanie po wsiach szkółek, ochronek, szpitali: słowem, działalność filantropijną, co znowu z jej pojęcia kobiety jako anioła pocieszyciela wynika. Demokratką Tańska nie była, położenie włościan nie zajmowało ją bardzo, a wywyższaniu się ponad swoją sferę stanowczo przeciwną była, jednak serce czułe na wszelką niedolę uważała jako nieodłączny przymiot kobiecy; nie o reformy też lecz o czyny miłosierdzia jej chodziło. — Te poglądy swoje na wychowanie i przeznaczenie kobiet wypowiadała Tańska kilkakrotnie, w „Pamiątce po dobrej Matce," potem w „Nauce Moralności," którą uczennicom instytutu guwernantek wykładała w „Listach o wychowaniu", wreszcie ilustrowała je w szeregu powieści dla dzieci i młodzieży. Jakkolwiek główne tło jej umysłu i dążeń było zawsze to samo, — jakkolwiek nie należała do natur, które pragnienie wiedzy i postępu ciągle naprzód popycha, — jednak pojęcia jej ulegały pewnym zmianom, rozszerzały się i modyfikowały zgodnie z wymaganiami wieku. I znowu z charakteru jej wynikało, że nie rozumowanie lecz doświadczenie i praktyka życiowa doprowadzały ją do pewnych na rzecz ogólnego postępu ustępstw. Ztąd też pomiędzy „Pamiątką po dobrej matce," „Powinnościami kobiet" i „Listami o wychowaniu" zachodzą już pewne różnice na korzyść nowszych poglądów. Gdy w pierwszej jakoby zatracenie własnej inwidualności kobietom zaleca, od wszelkiej niepodległości strzegąc je jak od głodu, powietrza i wojny, już w „powinnościach kobiet," czytamy życzenie, aby o każdej rzeczy własne zdanie sobie wyrobiły, aby umiały ocenić

swą osobistą wartość, aby mniej dbały o opinię cudzą niż o zadowolnienie wewnętrzne. Chcąc powstrzymać od lekkomyślnego zamiaru małżeństw mówi, że kobieta i bez małżeństwa szczęśliwą i użyteczną być może, wypowiada nawet takie zdanie „Chciałabym, aby kobiety ceniły się więcej, ażeby bardziej polegały na samych sobie, ufały mocniej w swe siły, żeby się przekonały, że same przez się znaczyć coś mogą.“ Wprawdzie w tem samem dziele jeszcze czytamy, że kobieta powinna szanować opinię, dbać o cudze zdanie, że swoje poglądy wypowiadać powinna bardzo umiarkowanie, skromnie, i nie dysputować nigdy; chętniej spełniać cudzą wolę niż własną, umieć wszystko jak gdyby od niechcenia itp. — uwzględniwszy jednak czysto praktyczny, a niezbyt konsekwentny umysł autorki, zrozumiemy, że chodziło jej o to, aby każda kobieta szczęśliwą i użyteczną była na swem stanowisku, aby mężatki były uległe, stare panny z losu swego zadowolnione, aby biedna zarobiła na utrzymanie, a majętna, lecz zależna umiała mężowi lub rodzicom o pieniądze nadskakiwać, słowem, aby wszystkim było dobrze i przyjemnie na świecie.

Ona sama, uznając w zasadzie, iż powołaniem kobiety jest małżeństwo, żyła jednakże dość długi czas w przekonaniu, iż ją powołanie to minie, i zupełnie się z losem godziła, życie swe stosując do wygłoszonych powyżej postępowych zapatrywań. Pisma jej bardzo poczytne dostatni byt jej i matce zapewniały, obok wielkiego umiarkowania, prostoty i taktu, nie budząc żadnych krytyk i niepochlebnych uwag, używała dość znacznej swobody, gdyż choć niezamężna najpierw z matką, a po jej śmierci sama otwarty dom w Warszawie prowadziła, a salon jej zgromadzał cały ówczesny świat literacki stolicy. Do roli starej panny sposobiła się bez niechęci i żalu, a małżeństwo z Karolem Hofmanem było dla niej samej zupełnie niespodzianem zrządzeniem losu. W powieści swej p. t. „Krystyna,“ odrysowała siebie taką, jaką być chciała w epoce, w której nie myślała wyjść za mąż, i tam właśnie wypowiada między innemi zdanie, które stało się później hasłem wszystkich kobiet o niepodległość walczących: „Czyż ja mam być zerem, które tylko postawione obok jedności coś znaczy?“ Do postawienia tego śmiałego pytania, śmiałego w zestawieniu z innemi pismami Tańskiej, klasztorną tchnącemi pokorą, doprowadziło ją znowu nie rozumowanie, nie polot ducha, lecz wprost doświadczenie, praktyka — wnioskowanie od szczegółu do szczegółu. Krystyna nie idzie za mąż, — czyż ma być dla tego nieszczęśliwą, lub mniej znaczyć od Karoliny, która za mąż poszła? Należy ją pogodzić z losem: nie stoi obok jedności, lecz zerem nie będzie. Doszła Tańska do tego wniosku mimowoli: przy okazyi prawie przypadkiem. Jedynie też na tej drodze współczesne prądy oddziaływały na Hofmanowę, pociągały ją i wbrew jej woli unosiły. Wrażliwą była na fakty, — ideje niedostępnemi dla niej były. To też żyjąc w epoce bujnego rozkwitu romantyzmu, obracając się nawet w kołach, w których on wszystkie ogarniał umysły, np. na emigracyi w Paryżu, pozostała mu obcą, nie pojmowała go, nie rozumiała i w siebie nie wchłonęła. Była ona dzieckiem epoki restauracyi, tej epoki, o której Brandes mówi, że szalała za porządkiem. Hasła takie jak: „mierz siły na zamiary“ — „dalej z posad bryło świata“ itp. nie znalazły oddźwięku w jej sercu poczciwem, lecz raczej ciepłem niż gorącem, zawsze zamkniętem w pancerz rozsądku, umiarkowania i zamiłowania spokoju. Mickiewicza stawiała na równi z Brodzińskim, ten ostatni nawet w wyższym stopniu jej sympatyę posiadał. Krasińskiego nie rozumiała zupełnie, żal jej było czasu na powtórne odczytanie Irydyona, nie mogła pojąć komu autor sprzyja, dla kogo pisał. O Bozkiej komedyi wyrażała się, że „ta książka w ogóle nic dobrego nie sprawi.“ Zresztą tym poglądom Tańskiej dziwić się nie można; dość było poznać ją jako autorkę i kobietę, aby z góry przypuścić, że takim, a nie innym musiał być jej sąd o panującym współcześnie kierunku. Równie naturalną zresztą jest rzeczą, że młode pokolenie, które owej rewolucyi literackiej dokonało, lub w jej atmosferze wzrosło, o pismach p. Hofmanowej ostre, a czasem i niesprawiedliwe wydawało sądy, że sympatyą jej swą nie darzyło i nawet niezaprzeczonych jej zasług ocenić nie mogło. Najsurowiej osądził ją Słowacki, co łatwo przecież zrozumieć; samo zestawienie tych dwóch nazwisk wywołuje w umyśle wrażenie antypodycznych sprzeczności. „Serca przez nią na kluczyk od śpiżarni zamknięte, klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć na nowo,“ wyraził się o niej dość złośliwie, lecz poniekąd trafnie, a może nawet proroczo. Pod wrażeniem nieszczęść kraju, w czasach rewolucyi, a potem prześladowań, zsyłek, emigracyi gromadnej, rosyjskich szubienic i knutów, wzrastało i dojrzewało nowe pokolenie kobiet, którym cnoty zwyczajne już wystarczyć nie mogły, przyszła pora na nadzwyczajne cnoty, poświęcenia, ofiary, które w epoce Hofmanowej „niepotrzebnemi nazywano“ „Ubite drogi“ przez p. Tańską zachwalane, już nie dla wszystkich dostępnemi były, należało torować nowe — słowem „klucz nieszczęścia“ otworzył serca kobiet i przystęp do nich utorował wyklętym przez dobrą matkę uczuciom egzaltacyi, zapału, entuzyazmu. Przodowniczki kobiecego świata szybko wyrosły z ciasnej foremki, w którą je zacna p. Klementyna zamknąć usiłowała, lecz dla znacznej większości natur przeciętnych, miernych, spokojnych — rady i wskazówki przez nią udzielone mogłyby być z małemi zastrzeżeniami wcale niezłym podręcznikiem cnotliwego życia, wygodną poręczą, o którą oparte nie zajdą ani zbyt daleko, ani zbyt wysoko, lecz bezpiecznie na prostej utrzymają się drodze i na manowce nie zbłądzą.

J. Moszczeńska.

„NAJMŁODSI“.

I.

Andere Vögel, andere Lieder! Do przybytku ojczystej literatury poczyna pukać nowa generacya i dość energiczne dopomina się o prawo zabrania głosu. Nieliczną jest jeszcze, ale nie wolno zaprzeczyć, że staje się coraz liczniejszą. Zrozumiałą jest rzeczą, że oko nasze z niekłamaną ciekawością spoczęło na tych „najmłodszych“, zwolna nadciągających, jak nowa straż w zastępie pokoleń. Co niosą oni z sobą dla kraju i jaką dają rękojmię, że do gleby rodzimej złożą zdrowe ziarno, obiecujące w przyszłości plon obfity? Czy oddychają energią, lub może niemoc ducha przedwcześnie ich podcięła?

Z góry musimy powiedzieć, że „najmłodsi“ zjawiają się z obliczem nader wyraźnem. Pokolenie z przed lat dwudziestu oddychało umiłowaniem trzeźwego życia, wniosło zapał do ścisłej wiedzy, w praktyce zaś teoryę szarego, nieustającego czynu. Pesymizmów tam nie było, organizmy tryskały zdrowiem. Następne, o ile zabrało głos, tradycyi czynu nie sprzeniewierzyło się, chociaż pojęło go inaczej; niepoświęconych raziło nieraz swoją czerstwością i jednostronnością, bo nie umiało gadać o sobie, estetykę i pokrewne sfery traktowało po macoszemu, jako rzecz zbytku, dla którego chwila obecna jest za ubogą. Jeżeli było tam czegoś za wiele, to wiary w ludzi i nadmiaru życia. I wstępująca obecnie w szranki piśmiennicze generacya bynajmniej nie przedstawia sobą jakichś nieodcyfrowanych znaków zapytania — mówimy o tych, którzy nie są spóźnioną falą przeszłych pokoleń. Naukę nie bardzo ona poważa, jako zamało mającą w sobie narkotyku: filozofię uwielbia, lecz taką, która, niby fata-morgana wód i drzew, ściele się nad spienioną wydmą piasków. I na inne pola życia spogląda z obojętnością, niekiedy zaś ze wstrętem, o ile one nie zaświecą błędnym ognikiem efektownego światła. Ale za to jest przesiąknięta estetyką aż do szpiku kości. A zgodnie ze swoją naturą znalazła najwłaściwszą formę dla swego wypowiedzenia się w powieści — może termin nie zupełnie jest odpowiedni, ale mniejsza o to. I zewnętrzna szata, w jakiej zjawia się, jest na wskroś, nie powiem oryginalna, lecz w każdym razie mocno odmienna, i sposób przedstawiania bohaterów, i potrącane zagadnienia i nawet osobisty stosunek do gwaru życia. Wiele tam roszczeń do tajemniczości, lecz mało czegoś istotnie tajemniczego. Wyprowadzone postacie, lubo temu lub owemu mogą wydać się naturami zagadkowemi, są przejrzyste jak górska krynica. Stoją one niby rzadkie żyto na piasku mazowieckim i każdy z nich jednako pochyla się w pustce pod podmuchem wietrzyka, jakby wyśpiewywał tę samą melodyę.

....Jak puste kłosy, z podniesioną głową
Stoim rozkoszy próżni i dosytu....

Nie, mimo szalonej pogoni za efektem, nie wiele jest tam zagadkowego. Cały zastęp przezroczystych postaci i przezroczystych twórców! W jego szeregach są mistrze i kopciuszki, talenty i talenciki, ale, jak dotychczas, mimo iż może żadne pokolenie nie bawiło się tak masowo w pogoń za indywidualizmem, bardzo mało jest tam rzeczywistej indywidualności. Pojedyńcze utwory są niekiedy tak wzajemnie do siebie podobne, że dałoby się podpisać jednego autora pod płodem drugiego, a niespostrzeglibyśmy, że mamy do czynienia z duchowym wyrobem kogoś innego. Wszędzie znać ten sam stempel.

Jeszcze jedno. W naszym szkicu nie będziemy wymieniali nazwisk pisarzy, poddanych przez nas rozbiorowi. Nie idzie nam bowiem ani o palenie kadzideł ku chwale jednych, ani o dokuczenie innym. Zaciekawia nas nowy prąd, nie zaś jakiś X. lub Y. w nim uczestniczący, tem bardziej, iż z bardzo nielicznymi wyjątkami wszyscy nawzajem tak mocno przypominają siebie.

I.

Jakeśmy rzekli, najmłodsi, występują z obliczem nader wyraźnem. Jeden rys rzuca się w oczy zaraz na początku, mianowicie nie znam ani jednego pokolenia, któreby posiadało tak nieuwydatnioną fizyonomię klasową. Bohaterzy ich utworów są wzięci ze sfer najrozmaitszych: tu oglądamy zmodernizowanego potomka dawnych karmazynów, opływającego w dostatkach; tam majętną panienkę z pośród „inteligencyi“, również zwolnioną od troski o kawałek codziennego chleba, ówdzie osoby, ciężko walczące o środki utrzymania. Ale mimo różnicy pochodzenia wyprowadzone postacie posiadają w silnym stopniu jednakową duszę, żyją one w różnem otoczeniu społecznem, ale taka odmienna arena nie żłobi na ich jaźni dosadnego śladu. Jest oczywistem, że są jakby odcięte od swojej warstwy, przebywają wśród niej związane splotem warunków, ale obce duchem. Są one jako różne odlewy człowieka „czystego“, „oderwanego“. A czy weźmiemy rzecz większą lub mniejszą, drobny szkic lub książkowych rozmiarów utwór, wszędzie oko w oko staniemy z tym samym trybem pisania. Istnieje zawsze jakieś „ja“, grzebiące się w samym sobie lub opowiadające o sobie. Stanowi ono główne ognisko, do którego zbiegają się wszystkie promienie. Zamiast przedmiotowej opowieści o wyprowadzonych typach i ustawienia ich w grupy podatne przedmiotowej perspektywie, autor z pośród najmłodszych chętnie używa innego fortelu. Owa „jaźń“ pisze pamiętnik, opowiada swoje przejścia przed kimś innym, słowem w ten lub inny sposób posługuje się przedmiotową metodą. W swojem mniemaniu wyrasta ona naturalnie na coś olbrzymiego, świat dalszy zostaje przyćmiony, radości i troski innych spadają nisko, lub, jeśli unoszą się, to niby bezkształtna i niewyraźna mgła. Rozumie się, każdy szczegół i szczegółik wewnętrznego życia wyrasta niepomiernie! O! bohaterzy ci umieją być tak szlachetni, tak wrażliwi nawet na najdrobniejsze ziarnko piasku, które doskwiera ich jaźni, chociaż rzadko umieją na niem odkładać drogocenną substancyę perłową, jak czyni nieznająca analizy muszla. A nie jest to nawet Seelengeographie, jak ktoś dowcipnie ochrzcił powieść psychologiczną, której przedstawiciel niby żeglarz puszcza się na morze wewnętrzne i od jednej wysepki duszy ludzkiej, płynie do drugiej, kreśli na papierze zarysy każdej i wiąże je w spojone archipelagi. Analiza własna i spowiedź wypełniają całe jądro utworku i bohater żyje odosobniony, a będąc tak dziwnie sub-

telny na każde drgnięcie własne, jest dziwnie nieczuły względem innych. A obok tego kąpiącego się w rozpamiętywaniach „ja“ cóż za jałowa, wprost rozpaczliwie skąpa atmosfera! Niekiedy ów ktoś wprost zna tylko swoje wnętrze i co najwyżej wyprowadza na scenę jeszcze halucynacyę własnego mózgu, przypuśćmy odbicie swoje w studni. W najlepszym razie zjawia się parę postaci: umierający suchotnik ogląda twarz przyjaciela i sióstr, zrozpaczony analityk wskrzesza z lat dawnych obraz kobiety, od której uciekł, lub którą zaczął podejrzywać jako narzeczoną i wyzwał jej mniemanego kochanka na pojedynek. Słowem pusto i głucho dokoła bohatera. A drugorzędne postacie są zwykle jak manekiny, poruszane ręką ukrytego reżysera, bez tętna życia, bez wyrazistej fizyonomii. Jak gdybyśmy byli w teatrze: ktoś wypowiada monolog i w nim wyprowadza drugą i trzecią, lecz nigdy dziesiątą osobę, żywemu jego słowu towarzyszą malowane drzewa, za nimi się wznoszą tekturowe domy. Zdarza się, że forma osobistego opowiadania zostaje odrzuconą, ale wśród najmłodszego pokolenia dzieje się to nadzwyczaj rzadko i przedewszystkiem tylko pozornie. Przy bliższem bowiem wejrzeniu, okaże się w głębi znowu to samo. Krótki np. wstęp przedmiotowy, później list — taka sama spowiedź indywidualna, w której inne osoby poruszają się jako cienie, zewnętrzne zaś warunki są dekoracyami dla monologu, potem znów kilka przedmiotowych rzutów, stanowiących pomost od jednego monologu do drugiego. Albo inna taktyka. Bohaterka zżywa się na męża i zamiast w czynie ujawnić swoją naturę, w wewnętrznem zwierciadle pokazuje, czem jest sama i czem jej towarzysz, później parę słów rozmowy i rozejście się w różne strony, jeszcze później spotkanie się tej samej kobiety z innym mężczyzną i wzajemna spowiedź. Czytelnik i tutaj nie ogląda rzetelnego życia, ani nie dowiaduje się, jak wśród splotu warunków wyrabiają się te lub inne troski i uciechy, w jaki sposób jedne namiętności ścierają się z innemi. Wszystko winniśmy przyjąć na wiarę: parę monologów, przeplatanych co najwyżej nitką przedmiotowości, aby się trzymały jako tako, mają nam oświetlić przeszłość osoby, rodowód czyjejś duszy, jej potyczki.

Subjektywizm formy, oto charakterystyczne znamię młodego pokolenia. Gwar życia zostaje wyklęty. A wraz z tem idą w parze inne następstwa — nadzwyczajna oschłość z jednej, rozwlekłość zaś z drugiej strony, a idą pospołu. Nie podobna bowiem powiedzieć, ażeby młode pokolenie nie umiało wyszukać pociągających wątków. Cóż to za wdzięczny temat w następującym szkicu: dziewczę wychowuje się w zwykłej, zgniłej atmosferze drobnomieszczańskiej, pełnej pozowań i czczości, która chociaż jadem przejęła jej istotę, nie przejadła jednak jej ostatecznie. Spotyka mężczyznę, ku któremu serce mocniej uderzyło, ale zdjęte zbyt daleko posuniętą skruchą, boi się przyjąć wyciągniętą dłoń, on zaś mazgaj nie umie pospieszyć z pomocą i pozostawia rozbitka własnym losom. Materyału jest tam sporo na utwór z rozwiniętą akcyę, gdyby dekoracye ludzkie i społeczno-rzeczowe zadrgały życiem. Albo inny obrazek. Spracowana nauczycielka, również młode, rozbite dziewczę, ucieka na wieś, w nocy miewa halucynacyę, w której z potoku pesymizmu, wynurza się postać siostry i wlewa otuchę, wskazując na młodsze rodzeństwo, potrzebujące czyjejś pomocy. Ale bogaty materyał zostaje przekuty na oschłe, a krótkie opowiadanie, niby na rodzaj protokułu. Natomiast drobne szczegóły zostają rozwleczone, za każdy wyraz potrzebny zjawia się dziesiątek zbytecznych — te ostatnie zdania piszę pod wrażeniem czyichś S z k i c ó w, wydanych w osobnej odbitce. Brr! ileż tam najniepotrzebniejszej frazeologii. Szkoda, że autor nie miał współpracownika, zresztą biernej natury, tj. takiego, któryby wziął ołówek do ręki i usuwał czczą gadaninę. Wprawdzie nowele byłyby krótsze, ale, że zyskałyby na tem skurczeniu, o tem nie wątpię ani chwili. A ta szczodrość słowa pociąga za sobą jeszcze inne skutki. Jeżeli zgadzamy się coś czytać, co zdołałoby być pomieszczone w trzech wierszach, zajęło zaś dziesięć, czynimy to pod warunkiem, iż styl będzie pociągającym. Istotnie, najmłodsza generacya mocno dba o tę stronę utworów, niekiedy może więcej o nią, aniżeli o prawdę psychologiczną. Ale styl tylko wtedy bywa naturalnym, kiedy treść jest jędrną: zachowuje się jak lekka tunika na ciele kobiety, z pierwszego rzutu już zdradzająca, czy pod tą powiewną osłoną ukrywa się bogactwo wdzięków, czy też dekadentyzm fizyczny. Jeżeli treści zbywa, naówczas autor winien nakładać barwy frazeologiczne, ale dotknięcie pokaże, iż pod stanikiem ukrywa się wata tandety. Otóż zjawia się ona dość często u młodego pokolenia.

Streśćmy powyższą charakterystykę w paru słowach. Forma subjektywnego monologu lub duetu, niekiedy zamaskowana, zastąpienie gwaru życia przez dekoracye i pokazywanie tylko fragmencików walki wewnętrznej, nadmiar słów, subtelność osobistych wrażeń i niewrażliwość na dolegliwości innych, a przedewszystkiem nie umiejętność scharakteryzowania czegoś w sposób przedmiotowy, oto oblicze, z jakiem wstępuje do literatury najmłodsza generacya, a raczej ten jej odłam, który odbiegł od starych bogów i woła, że niesie nowe. Jest to zewnętrzna fizyognomia. Ażeby poznać wewnętrzną, musimy wrócić się do bohaterów i zapukać do ich ducha, czego chcą oni. W tej mierze uprzedziliśmy już nieco wypadki, powiedzieliśmy bowiem, że psychologia ich to ów stan ducha, w którym Słowacki tworzył swoją uroczą dumkę, skarżąc się rzewnie, że jest on jako kłos, próżny rozkoszy i dosytu.

K. R. Żywicki.

NA WYŁOMIE.

(W i ą z a n k a c y t a t ó w.)

Jeden z warszawskich literatów, wracający z dłuższego pobytu za granicą do kraju, zwrócił mi uwagę, że walka, która obecnie u nas zawrzała około „nowych ludzi“ i młodego „Przeglądu“ przypomina poniekąd te gorące zapasy, których areną stała się około r. 1870 Warszawa. Jest istotnie pokrewieństwo pewne w stosunkach ścierających się na ostre obozów u nas i nad Wisłą, chociaż esencya walki i przedmiot niezgody dziś inne jak przed 25 laty. Podobieństwo jest tu raczej natury psychologicznej, taktyka zapaśników mniej więcej identyczna, stosunek armii walczących równy. Dość zajrzeć do ówczesnych roczników „Przeglądu tygodniowego“ lub „Kur. Warsz.“, dość wsłuchać się w namiętne skargi i gorzkie krytyki „młodych“ dość odczytać pogardliwe odpowiedzi weteranów piśmiennictwa, aby od razu w obecnej i dawnej fizyonomii bojowej uchwycić rysy zbliżone.

„Przypuściwszy — mówi do starego obozu, „Przegląd tygodniowy“ w artykule „My i Wy“ (r. 1871) — że wasza rola jeszcze nie skończona, dlaczegoście nam wszelkiej zaprzeczyli? Czy myślicie, żeście wy tylko zaarendowali honor, miłość dobra, poczucie piękna? ... Rezerwując sobie swobodę zdania, nam odmówiliście prawa głosu. I dziś skarżycie się, że usta nasze wygłaszają na was tu nowe wyroki? Smutna kolej, smutna chwila obrachunku z tymi, którym się zawsze istnienia zaprzeczało.“

A gdy bolesny ten protest ukazał się w łamach „Przeglądu Tyg.“ stanął na menzurze w porozumieniu z starszymi kolegami p. Edward Lubowski i zamieścił w „Kłosach“ (Nr. 343) artykuł, który uderzająco przypomina d r u k o w a n e i n i e d r u k o w a n e opinie wypowiadane przez poznańskich senatorów w obec nas — „intruzów“. Rzuciwszy piorunujące anathema na „bandyckie“ dzienniki peszteńskie, przedstawił Lubowski jako reprezentanta takiej „prasy pokątnej“ „Przegląd Tygodniowy“, który zdaniem jego pod zasłoną idei przeprowadzać pragnie „dwuznaczne lub pospolite cele, do gadzać namiętnościom i zawiściom, prywacie i zemscie.“ Młodym redaktorom polecł poważny „brat starszy“ zwijania tytek jako odpowiednie zajęcie, a umysłowość ich ocenił jako „młokosostwo pojęć i zasad, fanfaronadę mozolącą się na dowód, że aż do ery, w której ci panowie gryzmolić zaczęli, nic przedtem nie istniało, płytkość maskującą się wyjątkami z książki zaledwo co przeczytanej, idące w ślad za nią nieuctwo“ i t. d. Ta spieniona a bezsilna krytyka znalazła po latach 20 nader trafną ocenę w książce P i o t r a C h m i e l o w s k i e g o pt.: „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 20.“, z której przytaczam ad usum delphini następujący cytat charakterystyczny:

„Zamiast spokojnie wykazywać słabe strony, czy to teoryi Darwina, czy metody pozytywnej, czy hasła pracy organicznej, czy etycznego utylitaryzmu, czy emancypacyi kobiet, czy pojęcia postępu w ogóle, konserwatyści używali broni wygodniejszej: zarzucali przeciwnikom swoim z a r o z u m i a ł o ś ć n i e d o w a r z e n i e, n i e u c t w o; a co gorsza chwycili się środka, którym się partye polityczne posługują, oskarżając antagonistów o złą wolę, o zgubne zamiary, podsuwając insynuacye, na które trudno było odpowiadać otwarcie. D o w o d z i ł o t o t y l k o j e d n e j r z e c z y, ż e z a c h o w a w c y n i e c z u l i w s o b i e s i ł y d o p o d j ę c i a s p o r u n a u k o w e g o i w o l e l i ł a t w i e j s z ą d r o g ą d o j ś ć d o s w e g o c e l u p r z e z z n i e s ł a w i e n i e o b o z u p o s t ę p o w e g o.“

Jeżeli legiony antagonistów naszych, — którym z ust nigdy nie schodzi pogardliwa obelga, gdy „homo novus“ o głos się upomni i ciśnie rękawicę wygodnemu kwietyzmowi lub „utartym szlakom“, — wzniosą się na wyżyny greckiej zasady „poznaj samego siebie“, to w krytycznych poglądach Piotra Chmielowskiego podobiznę własnego odkryją oblicza. Na trybunę, z której tak długo śpiewano narodowi senne kołysanki, na mównicę, zajętą przez tych, którzy zaprzeczają możliwości „i s t n i e n i a d r ó g d o b r y c h a n o w y c h“ (Dr. T. Jackowski) i tych, którzy mimo opłakanego położenia ludu naszego bronią chłopu nieść na obce targi siłę muszkułów, „bo od robotnika żądać trzeba, aby siłę tę sprzedał raczej tu w kraju za niższą cenę, niż w Niemczech za wyższą“ (Dr. T. Jackowski) i tych wreszcie, którzy w zajmowaniu się nauką isztuką upatrują jednę z przyczyn upadku ziemiaństwa naszego (Dr. T. Jackowski), — na arenę konwencyonalnych, tradycyą uświęconych ogólników wstępuje hufiec nowych, a gorącą miłością kraju przejętych szermierzy. Nie mają oni żadnej legitymacyi i żaden z „ojców narodu“ opiekuńczej ręki nad nimi nie wyciąga. Spoglądają na społeczeństwo śpiące i wycieńczone, pragną do wątłego organizmu wsączyć soki świeże — więc z słowem uczciwej krytyki stają na trybunie i myśli swoje składają na ołtarzu ojczyzny. W tej samej chwili uderzają wszystkie dzwony na trwogę i zamiast przedmiotowej polemiki wytacza konserwatyzm poznański cały arsenał uszczypliwych banalności: „Co to za jedni? Kto ich przysyła? Gdzież ich zasługi? Sami tak młodzi a już innych uczyć pragną! Do szkoły! Zarozumiałość!“ i t. p.

Inni znów, zwolennicy maskarady społecznej, szeptają trwożliwie: „Po co nam grzebać w brudach? Po co drażnić niepotrzebnie? Tak zawsze było i nic nie zmienicie. Nadto brutalnie zdzieracie zasłonę, to tylko kwasy wywołuje i goryczy!“

Tu mimowoli przypominają się artykuły Józefa Szujskiego, zamieszczane swojego czasu w „Przeglądzie Polskim“. Stronnice czasopisma tego budzą poważne znaki zapytania, ale ta otwartość przekonań, ta śmiałość krytyki, te piorunujące słowa, których żadne poboczne względy nie więziły w ustach zasłużonego historyka, zasługują na uznanie najwyższe.

„Jeżeli naród polski — mówi on — ma takie nerwy, że potrzebnej w danej chwili prawdy nie zniesie, bo gotów wpaść w histeryę, idźmy spać i zostawmy go losowi.“ A gdy mu zarzucano bezwzględność wyroków i jaskrawość krytyki, wtedy Józef Szujski odpowiedział pamiętnemi słowy:

„J e s t e ś m y w i ę c w k r a j u i s p o ł e c z e ń s t w i e, g d z i e n i e p a t r z ą n a r z e c z, a l e n a f o r m ę, — n a w y r a ż e-

nia, nie na myśl. Jesteśmy w społeczeństwie, które mówi: Nie chcę cię, choć jesteś zdolny i pracowity, bo mi się wydajesz zarozumiały; mówić ci nie wolno, jak ci myśl niesie, bo chociaż to prawda, sposób jej wypowiedzenia mi się nie podoba; gadaj inaczej, to cię zniosę; zdajesz mi się nadto pewnym siebie, nie liczysz się z opinią publiczną; może ci na to nie pozwala twoje przekonanie, ale się musisz liczyć, musisz poddać je opinii, albo fora!

Oczywiście, taki krytyk popularnym nie był, ale czyż popularność poglądów jest cechą ich doskonałości? „Uganianie się za popularnością — mówi znowu Szujski — jest jedną z najgłębiej zakorzenionych wad polskich, wad zabójczych, utrzymującą panowanie głupstwa i złego, siejącą fałsz, zamiast prawdy na drogę życia.“

Oto drogoskaz fejletonów moich. Gonić za popularnością nie myślę, chociażby pan Dr. Jackowski zalecał mi jeszcze goręcej „katechizm tłumów“ jako wytyczną życia. A „katechizm tłumów“, szanowny panie doktorze, nie znaczy tyle co katechizm kościelny, lecz jest określeniem zdawkowej etyki duchowych plebejuszów, korzących się stale przed tradycyonalną formułką, zginających kolana jedynie przed powodzeniem i potęgą, rozkochanych wyłącznie w lśniącym frazesie, noszących w jednej kieszeni potępienie dla wad bliźnich swoich, a w drugiej przebaczenie dla siebie, hołdujących suchemu utylitaryzmowi i obracających się bezustannie w zaklętem kole kłamstw konwencyonalnych. Najpopotężniejsze duchy, które ludzkość wydała, z tym katechizmem bój śmiertelny wiodły, a z nowoczesnych pisarzy przypomnę tylko Słowackiego, Sienkiewicza, Ibsena.

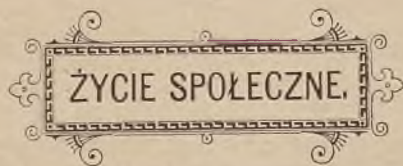
Pan Dr. Jackowski deklamujący o wstręcie do katechizmowej etyki nie zrozumiał, lub nie chciał zrozumieć, istotnych tendencyi artykułu mojego. Jeżeli enuncyacya ta — nie chcę powiedzieć denuncyacya — podyktowaną została jedynie brakiem dostatecznej refleksyi to gotów jestem w przyszłości dostarczyć przeciwnikowi mojemu ad hoc skreślonych komentarzy do fejletonów tygodniowych.

* * *

Do skrzydlatego Dyktatora.

Nie wylatuj wysoko zanim się wypierzysz,
Bezpieczniej dla pisklęcia siedzieć w gniazdku nizko,
Bo skoro skrzydła słabe do lotu rozszerzysz,
Spadniesz na dół jak Ikar — ptaków pośmiewisko.

Sulla



KRONIKA WARSZAWSKA.

(Śmierć Pilattiego. — Owoce dekadentyzmu: [Obraz p. Podkowińskiego i wiersz p. Wolskiego. — Pesymizm w literaturze: Szkice p. Kmornickiej. — Owoce z zasiewu pracy organicznej: wspaniałe obietnice „ojców“ Radomska. — Odczyty w sali muzycznej.)

Nowa mogiła przybywa do dwóch świeżych, usypanych nad sławnymi przedstawicielami malarstwa; ta nowa zamknęła oczy człowiekowi, który już od dziesiątka lat trawiony chorobą nie tylko, że przestał tworzyć, ale wlókł dni tak smutne, że śmierć chyba tylko za dobrodziejstwo może być uważaną.

„Pilatti, pisze o nim jeden z malarzy-krytyków, należał do najruchliwszych artystów przed ćwierć wiekiem. Szybko tworzone obrazy wciąż zdobiły przybytki sztuk, budząc zainteresowanie u publiczności. Niemniej był on czynny jako rysownik do pism obrazkowych. W tysiącu rysunków, jakie prawdopodobnie wykonał, przyszły badacz życia warszawskiego będzie miał nieoceniony materyał. Odtwarzał on na kartach tygodników wszystkie ważniejsze przejawy ruchu i działalności, wszelkie zdarzone wypadki, zmiany, ilustrując ulicę, teatr, wystawy, obchody i uroczystości.

„Sferą działalności Pilattiego były przedewszystkiem sceny bojowe i rodzajowe. Krajobraz, człowiek, koń, wnętrza lub budynki, wchodziły jako składowe części do wszystkich jego obrazów.“

Najwięcej odznaczał się Pilatti jako kolorysta; wrodzony talent zastępował mu braki wykształcenia fachowego, ale ten ostatni ujemnie oddziaływał na jego twórczość.

Wśród malarzy żyjących p. Podkowiński postawił sobie widocznie za zadanie zadziwiać publiczność efekcikami według ostatniej mody. Obecnie na wystawie „Zachęty sztuk pięknych“ znajduje się płótno jego p. n. „Szał“. Nie widziałem tego obrazu i przyznam się, że mi nie pilno; nie dla tego, iżbym lekceważył p. Podkowińskiego, ale dla tego, że on lekceważy sobie i swój talent, który, jak mówią, mógłby się rozwinąć w coś dodatniego, gdyby nie gonitwa za graniczącymi z skandalem efektami — a jeszcze więcej publiczność. Z tej ostatniej zadrwił sobie przed rokiem, wystawiając jakąś impresyonistycznie-symboliczną mazaninę, pod nazwą „Ironia“, w której nie tylko żadnej idei. ale wprost nawet zdrowego sensu nie było, nie mówiąc już o rysunku lub kolorycie. Publiczność stawała przed tem płótnem, jedni śmieli się, drudzy starali się odgadnąć ten rebus, trzeci z oburzeniem wymyślali komitetowi, zarządzającemu wystawą, za przyjęcie takiego nonsensu.

To też nauczony tym przykładem i teraz nie spieszę na wystawę, a nie byłbym zapewne wspominał o „Szale“ p. Podkowińskiego, gdyby nie ta okoliczność, że natchnął on równym szałem pewnego młodego poetę... Tak to nasiona pokrewnych prądów łatwo kiełkują na wyjałowionym z wszelkich lepszych podstaw i zasad gruncie intelektualno-moralnym i jak chwasty na wyczerpanem polu plenią się z niezmierną szybkością, wspierając się nawzajem i głusząc lepsze myśli.

Następujące kilka wierszy, wzięte z utworu, którego nie śmiem nazwać poezya, dadzą najlepsze wyobrażenie i o treści obrazu p. Podkowińskiego i o tem jak szybko znajdują u nas naśladowców tacy Baudelair'ży i ich naśladowcy.

Z koniem spienionym w uścisk zrośnięta,
Szyje potwory namiętnie dusi,
Porwała ludzkiej obłudy pęta
Bo szaleć musi!

Musi! — to popęd silny i zdrowy, (!?)
Ciało przepyszne miłości woła,
A tu jej przesąd każe wiekowy
Odgrywać rolę anioła... (?)

Ona kobieta jest, nie aniołem,
Kobietą ze krwi i kości...
Ach, ona pragnie z rumakiem społem
W dół runąć w szał namiętności!

Nie daremnie więc pracowali tłómacze „Kwiatów grzechu“; przeniesiona na nasz grunt roślina dekadentyzmu puszcza rozłogi i daje swojskie odmiany.

Równolegle z wyuzdanem zepsuciem zmysłowem występuje w literaturze fancuzkiej pesymistyczna analiza, zagłębienie się egoistyczne w swojej drobnej osóbce. Ta skłonność do analizy w życiu jest może następstwem owego zużycia nerwów w pogoni za rozkoszami zmysłowemi, zużycia, które wyczerpało siły czynne ducha i nie pozostawiło mu nic jak jałowe grzebanie się w swojem wnętrzu. Przynajmniej we Francyi pokoleniem analityków jest to, którego nauczycielami w życiu byli Zola i podobni jemu kapłani kultu ciała.

U nas objaw ten na szczęście, zdaje się, jest wyłącznie naśladowczy, lub przypadkowy; a jeśli skłonność ku niemu daje się dotrzedz w pewnem młodszem gronie na szerszą skalę, to jest on wynikiem zupełnie innych przyczyn i zamknięcia wszelkiego pola dla czynu w szerszem znaczeniu — politycznem i społecznem. Straszny ucisk narodowy, państwowy i społeczny, tłumiąc wszelkie lepsze pragnienia, zamykając drogę lepszym siłom, powoduje ów nastrój beznadziei, którego objawem są tak liczne popędy do oderwania się od życia rzeczywistego do jeszcze większej atomizacyi i bez tego sproszkowanego życia społecznego.

Przed paru laty p. Ign. Dąbrowski w swojej „Śmierci“ zainaugurował ten kierunek, a przynajmniej nadał mu wyraźne piętno swoim talentem. Ponura, niekiedy okropna analiza ostatnich chwil umierającego suchotnika, owa drżączka przed nieznanem, które miało się rozpocząć za mogiłą, lub przed tą nicością, w której utonąć miało młode życie, znalazła wielu czytelników i poklask prasy.

Dziś mamy przed sobą wiązankę „Szkiców“ (p. Komornickiej), znacznie ustępującą pod względem talentu pisarskiego obrazowi psychologicznemu p. Dąbrowskiego, niemniej jednak wyróżniającą się bardzo i bardzo od szarego tła produkowanych ustawicznie — na żądania dzienników, lub bez niego — nowelek, obrazów i t. d.

Cechą ich pesymizm, metodą analiza, celem — reformatorstwo formy powieściowej. Cel ten wygłasza autorka w przedmowie, w której zarazem zaznacza po czyjej stronie leżą jej sympatye, mówiąc: „Dramat i powieść skandynawskie, a w Niemczech filozof-poeta Nietzsche są bardzo znaczącemi na korzyść moich przekonań wskazówkami.“ — Nie sądzę, ażeby forma współczesnej powieści krępowała w czemkolwiek twórczość; prawdziwy i oryginalny talent znajdzie możność objawienia siebie w tej lub innej formie, a jeśli nie znajdzie gotowej, odpowiedniej, to stworzy nową razem z treścią nie zastanawiając się nad nią i nie rozprawiając o niej. Za najlepszy zresztą dowód elastyczności współczesnej formy służyć może fakt, jak sprzeczne ze sobą kierunki szkolne i dążności zmieściła powieść współczesna. Sama forma listowo-pamiętnikowa n. p. mogła objąć i „Nową Heloizę“ i „Wertera“, powieści George Sand i „Bez Dogmatu“. Jeśli jednak zostawimy na uboczu tę pretensyonalność reformatorską — wynik naśladownictwa, również jak i wiele naleciałości pesymistycznych, to zostaje jeszcze w tych szkicach wiele oryginalnej siły i wiele szlachetnych dążeń, skutych warunkami bytu. To nie ckliwy pesymizm francuzkiej powieści miłostek, ani deklamacye pisarzów skandynawskich. Tu czuje się ból natury energicznej, którą pognębia brak pola dla czynności, a przeniesienie — zupełnie niesłuszne — na ogólne życiowe warunki, tego, co jest wynikiem pewnego społecznego i politycznego położenia naszego kraju, zaprzeczenie życia w ogóle, z powodu tego, czego dać nie może życie nasze w chwili bieżącej, staje się źródłem pesymizmu; nie spoczywającego i kontemplacyjnego pesymizmu kwietystów, lecz pełnego buntu i porywu do rozbicia więzów pesymizmu szlachetnych natur, dążących do ideału, pesymizmu wywołanego drobiazgowością i czczością życia.

Nie mogę tu poddać bliższemu rozbiorowi, na jaki zasługują, tych kilka szkiców, których osobliwością formy jest to, że pozbawione prawie akcyi zewnętrznej, zamykają się całe w monologach lub dialogach namiętnych zdradzających rzadką siłę rozumowania.

Zaznaczę tylko, że w tym pesymizmie i i w tej analizie swojskiej nasze utwory dodatnio odznaczają się od swoich zagranicznych pierwowzorów.

Jeśli pezymizm i szał zmysłowy, a zwłaszcza ten ostatni, który tak się panoszy, że zalazł odbicie nawet we wrażliwej duszy tej wielkiej poetki, która tak niedawno jeszcze w pieśniach słowiczych śpiewała o związku dusz i nałożonej na usta pieczęci milczenia, jeżeli pesymizm i szał, powtarzam, wydały swoje niesmaczne owoce na niwie sztuki i poezyi, to znowu jednostronne hasła organiczne, ogłaszające popęd do robienia pieniędzy za godną najwyższej zachęty cnotę obywatelską, wytrysnęły w życiu takim kwiatkiem, który aż przeraża lekkomyślną rozrzutnością dobra publicznego i niezrozumieniem własnego interesu.

W jednym z tygodników czytamy: „Popieraną przez nas od dwudziestu pięciu lat ideją większego rozwoju miast przy pomocy przemy-

słu i handlu, wśród sprzyjających warunków*) urzeczywistnia się stopniowo ale ciągle. Obecnie obudziła się już samowiedza w samych mieszkańcach miast... Oto ojcowie Radomska, posiadający piękny z przeszłości majątek, 200 włók lasu, postanowili sto takowych, leżących w blizkości plantu kolei, odstąpić darmo fabrykantom, którzyby tu się pobudować chcieli.

Czy też ci „ojcowie“ pomyśleli o tem, jaką ciężką odpowiedzialność biorą na siebie wobec przyszłych pokoleń, wobec całego kraju, oddając tak na zniszczenie sto włók (!) lasu pierwszemu lepszemu awanturnikowi, który zechce tam się osiedlić i rozpocząć swoje spekulacye? Czyż nie wiedzą o tem, że ci panowie, jeśli warunki istotnie sprzyjają, sami przyjdą i oblepią ich miasteczko jak osy miód, i że może gorzko żałować wypadnie wtedy za wspaniałomyślność okazaną kosztem miasta i ciężkiemi ofiarami okupić pretensye do „rozwoju miasta“ dziś może cichego i szczęśliwego? I czy to cała ludność miasta jest tak pysznie uposażoną? Czy w niem i w całej okolicy niema wcale mieszczan ubogich, chłopów bezrolnych, że tak hojnie obdarzać chcą bogatych przybyszów publiczną własnością. Kiedyż to apostołowie „pracy organicznej“ i ich gorliwi uczniowie zrozumieją, że do wzbogacenia się nikogo nie potrzeba ani napędzać, ani zachęcać, bo większość i bez tego pragnie pieniędzy.

W końcu jeden fakt dodatni: Komitet damski przy towarzystwie opieki nad zwierzętami urządził szereg odczytów popularnych po bardzo przystępnej cenie, w celu podniesienia uczuć humanitarnych i w ogóle rozszerzenia wiadomości naukowych w uboższej klasie. Odczyty te odbywają się w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa i zgromadzają bardzo spore grono słuchaczy. Dobry ten początek może z czasem rozwinie się. *X.*

*) Tygodnik ten od dwudziestu pięciu lat już uprawia styl równie piękny i język równie poprawny.

KRONIKA LWOWSKA.

Sprawa „Teatru ludowego,“ o której wspomniałem w korespondencyi poprzedniej, od dość dawna żywo zaprzątała umysły. Zainteresowano nią we Lwowie, śmiało rzec można, kilka set osób, przeważnie naturalnie z szeregów młodzieży, boć to najpodatniejszy do wszelkiej uczciwszej pracy żywioł. Impuls dało kilka kobiet, którym „pielęgnowanie ogniska domowego“, tj. zajmowanie się naprawianiem bielizny mężowskiej, przygotowywanie dla wracającego z biura „mężusia“ dobrego obiadku a dalej hołdowanie banalnemu flirtowi i plotkarstwu widocznie nie wystarcza. Obok tych cnót kardynalnych, tak zalecanych „naszym matronom“, „naszym niewiastom polskim“ przez przyjaciół tzw. harmonii społecznej, polegającej na ciemiężeniu słabszych (ekonomicznie, fizycznie czy umysłowo) przez obdarzonych silniejszemi szponami, istnieją wszakże inne, może mniej idealne, lecz dla rozwoju życia narodowego korzystniejsze nieco przymioty, które posiada i u nas bardzo poważne grono białogłów. Jako dokument niechaj wam posłużą pomiędzy innemi takie instytucye, jak „Tow. pracy kobiet,“ Tow. oszczędności kobiet,“ którego akcya tak błogie przynosi owoce, a przedewszystkiem zaś „Tow. szkoły ludowej,“ prosperujące znakomicie, a rozkwit swój zawdzięczające w pierwszym rzędzie naszym zacnym niewiastom. Z tych sfer, do których w danym wypadku przyłączyło się kilku młodzieńców, głównie z politechniki tutejszej, wyszła także myśl stworzenia „Teatru ludowego“, instytucyi, która byłaby dopełnieniem pracy, leżącej w zakresie „Szkoły ludowej“ i innych zbiorowych i indywidualnych akcyi, mających na celu oświatę ludu naszego. Od kilku miesięcy zbierała się przeważnie w gościnnym domu p. Łomnickiej, żony znanego u nas przyrodnika, mniejsza lub większa garść osób, aby naradzić się nad przygotowaniem gruntu, nad kwestyą dostarczenia środków materyalnych, nad spisaniem statutów, a gdy te przez władze potwierdzone zostały, nad złożeniem wydziału i wprowadzeniem rzeczy na właściwe tory.

Podczas tych robót przedwstępnych zaczęły się atoli objawiać pewne czysto galicyjskie a może właściwie (bo czemuż to nie nadaje się u nas przymiotnika „galicyjski!“) czysto polskie cechy; gorączkowa obawa, aby inicyatorów nie posądzano o jakieś radykalno-rewolucyjne zakusy, aby nie myślano w pewnych sferach, że „Teatr ludowy“ będzie miał za zadanie burzyć ową nieszczęśliwą harmonię społeczną, jaka panować winna pomiędzy wszystkiemi stanami, a przedewszystkiem zaś pomiędzy naszym poczciwym „kmiotkiem,“ a in odore sacrosanctitatis pozostającym zawsze dworem, czy patryarchalnym dworkiem.

Niezupełnie właściwym krokiem była także chęć przelewania swych uczuć i na Rusinów, którzy wcale tego nie pragną, ponieważ najtrzeźwiejsi z nich nie mogą się opędzić myśli, że „Teatr ludowy“ będzie miał cele polonizacyjne. Nie potrzebuję dodawać: że zamiar takiej antinarodowościowej akcyi nie powstał w głowie żadnego z założycieli; w każdym razie „Teatr ludowy,“ zmuszony rozmaitymi warunkami, przynajmniej jak na teraz, ograniczyć działalność swoją na Galicyę Wschodnią, tymi romantycznymi objawami „braterstwa“ stawił sobie z góry niepotrzebne zapory. Pomijając bowiem wrogie stanowisko, na jakie mimo całej swej „lojalności“ napotka u pewnej antidiluwialnej, ale silnej kasty społeczeństwa naszego, będzie miało towarzystwo, ilekroć zajedzie do takiego Jaworowa, Wiszni Sądowej, Bołszowiec, Szczerca lub Ustrzyk do czynienia z niechęcią niebardzo ufnych z natury Rusinów. Ruch ludowy pomiędzy Rusinami dosyć jest silny, wystarczą im najzupełniej „swoji“, pozostawić ich więc należy sobie samym — dopóty, dopóki z ich obozu nie wyjdzie chęć pracowania z nami razem, co ostatecznie, gdy u nas ruch demokratyczny stanie się naprawdę szczerze ludowym nastąpić musi.

Wynik wspomnianych narad przedwstępnych był ten, że kilku z „ludności“ od roboty się usunęło — czy słusznie lub nie, wchodzić w to byłoby zbytecznem — albo przynajmniej ochłodło w zapałach, zwłaszcza, że na czele instytucyi postawiono hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Nazwisko to jest skąd inąd wielce sympatyczne: z pomiędzy naszych „panów“ Dzieduszycki jest człowiekiem najbardziej europejskim, sam głośno przyznaje się do zasad demokratycznych (odmiennych od „demokracyi“ hr. Tarnowskiego), za młodszych lat był podobno jednym z najzagorzalszych „chłopomanów“ i własnych swych synów wychowywał, jak mówią, nie po szlachecku, lecz po „chłopsku“ (kazał im chodzić w sukmanie, za pługiem et. c).

Nie mniej jednak wybór jego nie wszystkich zadowolnił, „chłopomanja,“ „która miała dawniej wszystkie cechy romantyzmu, dziś zmieniła się w „sympatyę do ludu;“ nie wielu jest zwolenników prawdziwej emancypacyi ludu, którzyby mogli na seryo uwierzyć, że hr. Dzieduszycki byłby zdolen poświęcić interes stanu szlacheckiego dla interesów szerokich warstw ludowych. Z tego też względu (i z wielu innych) nie można się dziwić, że ten lub ów z „radykalniejszych“ ludowców nie chce iść pod sztandarem hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, sądząc nie bez słuszności, że praca dla ludu pod jego egidą nie pozbędzie się zgubnej dla ludu „patriarchalności.“

Na otwarcie „Teatru ludowego,“ zainaugurowane przedstawieniem amatorskiem w tutejszej sali „Sokoła“ zjawiło się dzięki zabiegom prezesa i jego zastępczyni p. Łomnickiej) około 60 chłopów z najbliższych okolic Lwowa, którzy jednak zniknęli w masie obecnych na spektaklu „inteligentów. Przedstawienie było też właściwiej przeznaczone dla tych, niż dla tamtych: prologu, który napisał p. Stanisław Rossowski, a w którym było pełno „uzmysłowień,“ zaczerpniętych ze świata, chłopom obcego, nikt z obecnych wieśniaków nie rozumiał; z „Wili św. Andrzeja“ zaś podobały się im najbardziej tańce i muzyka.

Śmiało twierdzić można, że aranżerowie „Teatru ludowego“ prawie wcale ludu nie znają, jakkolwiek względem niego najlepszemi ożywieni są chęciami, trudno im więc wybierać sztuki, któreby rzeczywiście przemawiać mogły do niezbyt rozwiniętego umysłu polskiego chłopa, wschodnią zamieszkującego Galicyę. Na uniewinnienie można chyba to przytoczyć, że literatura nasza posiada bardzo mało prawdziwie ludowych widowisk. Czy „Teatr ludowy,“ pomimo, że posiada dzisiaj kilkaset członków, będzie się rozwijał, trudno na razie powiedzieć; byłoby wielką szkodą, gdyby z jakichkolwiek powodów, co u nas bardzo jest możliwem, miał upaść. My z naszej strony życzymy mu jaknajlepszego powodzenia, wierząc, że z czasem stanie się on czynnikiem, który rozwojowi myśli ludowej wielkie odda usługi.

Mówiąc o „myśli ludowej,“ trudno mi nie potrącić o zawiązujące się u nas „Towarzystwo demokratyczne“, którego statuty władze już potwierdziły, a które w dniu, w którym list niniejszy pójdzie pod prasę drukarską, będzie już mogło poszczycić się „ciałem“, trzeciego bowiem maja, jako w 103 rocznicę konstytucyi odbędzie się pierwsze walne zgromadzenie, a na niem ukonstytuuje się wydział. O organizacyi, o drogach, jakiemi towarzystwo to pójść zamierza, o srodkach, jakich używać pragnie, napiszę w korespondencyi następnej; dzisiaj uważałem tylko za swój obowiązek powiadomić czytelników waszych o radosnym fakcie powstania związku, którego potrzeba dawała czuć się od dawna.

Wiadomą jest rzeczą, jak skonsolidowanem jest stronnictwo zachowawcze (pomimo ścierających się w drobnostkach odcieni), jaką dzięki konsolidacyi tej posiada potęgę i — jak demoralizująco oddziałać umiało na naszych „demokratycznych“ reprezentantów w sejmie galicyjskim i w wiedeńskiej Radzie państwa. Dzięki zręcznym a przytem niezwykle energicznym manewrom namiestnictwa hr. Badeniego, który, choć jest u nas „najwidomszym“ zastępcą cesarza, nie stoi wcale po za stronnictwami, ale jest „ein Parteimann“ czystej wody, rozbite zostało demokratyczne mieszczaństwo lwowskie: tzw. „lewica“ zaś o tyle zasługuje na tę nazwę, o ile nieprawemi chodzi drogami Szereg występków politycznych, jakich się w ostatnich czasach dopuścili tzw. „liberalni“, czy też „demokratyczni“ posłowie nasi, depcąc dla uzyskania względów stronnictwa konserwatywnego najkardynalniejsze zasady demokracyi, wzburzył przeciw pp. Lewickim, Rutowskim, Szczepanowskim, Sokołowskim, Potoczkom (poseł chłopski, który w najhaniebniejszy sposób zdradził zaufanie swoich wyborców, domagających się od niego walczenia za prawem powszechnego głosowania) najumiarkowańsze, ale „Stańczykom“ niezaprzedane umysły. Pomiędzy dawniejszymi zwolennikami „lewicy“ panuje dzisiaj powszechne przekonanie, że ci uwielbiani przez naszych demokratów i liberałów pieszczeni benjaminkowie niczem się nie różnią od zohydzanych konserwatystów, że za urzędzik jakiegoś szefa sekcyjnego, za jakąś profesurkę lub nieco lepszy stołeczek w Radzie szkolnej, a nawet za proste uściśnienie ręki przez „hrabiego“ gotowi wyrzec się swoich dotychczasowych „tromtadratycznych“ zachcianek. Tylko, że konserwatyści daleko są szczersi, uczciwsi Stanowisko posłów z lewicy w sprawie stanu wyjątkowego w Czechach, a przedewszystkiem w sprawie reformy wyborczej etc. sprawiło, że lewica faktycznie istnieć przestała.

Zespolenie więc żywiołów demokratycznych, nie zgangrenowanych powszechnem u nas karyerowiczostwem, było niezbędnem; tylko zwartym szeregiem będzie można stawić skuteczny opór zbliżającemu się w Austryi coraz to szybszemi kroki widmu reakcyi, która jeżeli nie będzie meternichowską, to w każdym razie windischgrätzowską, co mutantis mutadis wyjdzie na jedno.

Mężów z lewicy do towarzystwa nie zaproszono, i słusznie, choć jeden z mężów zaufania radził z grzeczności wezwać kilku ze skompromitowanych matadorów „liberalnej demokracyi galicyjskiej,“ aby do tow. demokr. przystąpili. Na prezesa nowego towarzystwa forytują posła L a w a k o w s k i e g o K a r o l a, który jedyny z pośród „lewiczaków“ miał odwagę pozostać wiernym hasłom demokratycznym.

Z innych, bardziej znanych osobistości tutejszych, wejdą do Wydyiału redaktor „Kuryera Lwowskiego“, Henryk Rewakowicz, dyrektor banku zaliczkowego Terenkoczy, dalej zacny weteran demokracyi polskiej Deskur etc.

Wspomnieć mi jeszcze wypada o zawiązaniu się nowego stronictwa socyalistycznego: stronnictwo to właściwie nie zupełnie jest nowem. Powstało ono na gruzach tak zwanych socyalistów „niezawisłych,“ którzy rozbili się raz dla tego, ponieważ absolutnie nie wiedzieli czego chcą, a powtóre dla tego, że jeden z prowodyrów okazał się — jak powszechnie twierdzą — ajentem policyjnym. Nowe stronnictwo noszące urzędową nazwę partyi „socyalistycznej robotniczej“, stanowi ku wielkiej uciesze policyi, która podobno o mało nie pękła ze śmiechu, opozycyą „socyalnych demokratów.“ Nie sądźcie jednak, aby opozycya ta polegała na jakiejś podstawie idealnej, broń Boże! gra tutaj rolę prywata, dziecinna ambicya, oraz zwykła u ludzi niezupełnie dojrzałych chęć bezcelowego burzenia.

Na razie jednak postanowiły oba stronnictwa, nienawidzące się wzajemnie, pójść ręka w rękę celem godnego obchodu święta robotniczego, oraz przyłączenia się do powszechnego strejku, którym stronnictwo robotnicze w Austryi zamierza wywalczyć to. co u was jest solą, bez której żaden człowiek żyćby nie umiał, a co u nas poczytuje się nieomal za obłęd, tj. powszechne prawo głosowania. Dla charakterystyki dodać muszę, że nasi „niezawiśli“, z których wytworzyło się owe nowe stronnictwo, byli zasadniczemi wrogami powszechnego prawa głosowania; myślą dziś inaczej.

W sprawie powszechnego strejku odbyły też właśnie oba stronnictwa powyżej wzmiankowane dwa wielkie przedostatniej niedzieli zgromadzenia. Na zgromadzeniach tych, odbytych w sali ratuszowej, która była tak przepełnioną, że nie starczyło miejsca, aby się ruszyć, robotnicy lwowscy, których jest kilka tysięcy, postanowili jednogłośnie do strejku takiego się przyłączyć. Manifestacya więc będzie olbrzymia, zachodzi tylko kwestya, czy innym potęgom nieuda się zgnieść tej akcyi, podjętej za jedną z najpiękniejszych zdobyczy cywilizacyi europejskiej, za prawo powszechnego głosowania.

Stanisław Antoni Zaporski.

KRONIKA LITERACKA

— O przemyśle domowym. Wykład dra Władysława Łebińskiego na walnem zebraniu Centralnego towarzystwa Gospodarczego wygłoszony. Poznań, 1894, nakładem autora, w 8ce stron 32.

W broszurze tej porusza autor ważną bardzo sprawę przemysłu domowego, rozbiera jego definicyą, przedstawia obraz jego rozwoju w Niemczech, — szczegółowo opisuje przemysł domowy na Śląsku — wreszcie rozbiera pytanie: czy i w jaki sposób nam się należy zabrać do stworzenia i podźwignięcia przemysłu domowego. Słusznie ostrzega autor przed zbytniem popieraniem przemysłu domowego bez równoczesnego zorganizowania się handlu wyrobami tegoż przemysłu. W tym celu radzi zawiązanie towarzystwa czy spółki kupieckiej — któraby tę sprawę wzięła w rękę. Rada ta słuszna i trafna — a dopełnilibyśmy ją w ten sposób, że radzilibyśmy takiej spółce założyć magazyn wyrobów domowego przemysłu — na wzór istniejącego w Krakowie Bazaru wyrobów krajowych. Do magazynu takiego zgłaszaliby się producenci, nadsyłaliby swe wyroby, których w miejscu ani spieniężyć nie mogą ani nawet pokazać komu nie mają. Za pośrednictwem takiego magazynu czy bazaru moglibyśmy też dopiero zebrać statystykę, obliczyć swe siły, dowiedzieć się, czy i gdzie przemysł domowy już się rozwinął, czy i jakie są siły produkcyjne lub talenta nawet ukryte i potrzebujące tylko zachęty, aby się dalej rozwinąć.

Polecamy tę myśl poznańskim towarzystwom przemysłowym i korporacyi kupieckiej. *Z. C.*

* * *

— Casimir Stryieński. Une capitale d'autrefois Cracovie. Paris str. 73.

Są to fejletony o Krakowie drukowane poprzednio w jednem z czasopism francuzkich. Autor opisuje pobieżnie miasto, jego ludność, kościoły, zbiory i zabytki sztuki, wymienia głównych artystów, wybitniejszych przedstawicieli literatury, tłomaczy nawet prozą parę utworów Asnyka i Bohdana Zaleskiego. Mamy także lekkie wzmianki o „towarzystwie“ krakowskiem, o dobroczynności publicznej i t. d. Najwięcej stosunkowo, bo kilka kartek, wypełnia opis galeryi obrazów X. X. Czartoryskich. Rzecz napisana z miłością dla przedmiotu. Autor jest francuzem, synem polskiego emigranta, a bratem znanego architekta krakowskiego, któremu też dedykuje „ce petit volume à la mémoire de notre vénéré père“. *K. B.*

* * *

— Władysław Umiński. Żegluga powietrzna. Warszawa 1894 str. 121.

Lot jest bezwątpienia najlepszym środkiem przenoszenia się z miejsca na miejsce, ztąd też lot ptaków od najdawniejszych czasów wzbudzał zazdrość wśród ludzi. Autor w zajmującej swej książce kreśli dzieje tej zazdrości, to jest usiłowań ludzkich, aby wyrwać ptakom wyłączny przywilej latania. Niedorzeczne pomysły poszły już do archiwum, dziś tylko wyłącznie zajmują się aeronautyką. Walczą ze sobą dwa zdania: jedni są za przyrządami cięższemi od powietrza, drudzy za balonami i aerostatami.

Przedstawiwszy teoryę tych ostatnich i pierwsze próby kierowania balonami, przechodzi autor do aeronautyki współczesnej, wyjaśniając naukowo dotychczasowe jej zdobycze. Nie należy on do jej stronników, wykazuje wady balonów i sądzi, iż daleko łatwiej podbić atmosferę za pomocą aeroplanów cięższych od powietrza. Maszynom przeto latającym poświęca drugą część swojej pracy, rozpocząwszy od naukowego przedstawienia badań nad lotem ptaków. Zaznajomiwszy z teoryą tego lotu, przechodzi autor naprzód do orthopterów czyli ptaków sztucznych, następnie do helikopterów, spadochronów, latawców i aeroplanów. Te ostatnie przy obecnym stanie techniki najprędzej doprowadzić mogą do rozwiązania kwestyi żeglugi powietrznej. Wszystko jednak zależy według autora od wynalezienia lekkiego, a potężnego motoru. Maszyna dynamoelektryczna, lubo jest najlepsza ze wszystkich dotąd znanych silni, potrzebuje jednak dużej bateryi ogniw galwanicznych. Porzucić też należy elementy hydroelektryczne, a zwrócić się do bateryi gazowej, w której źródłem energii byłoby łączenie się wodoru z tlenem powietrza. Z tego powodu podaje i opisuje autor własny projekt nowej gazowej bateryi elektrycznej, zastosowanej do celów żeglugi powietrznej. Na tym projekcie kończy się interesujące studyum Umińskiego nad jednem z najważniejszych zagadnień dzisiejszej nauki. *K. B.*

KRONIKA POWSZECHNA.

— Zwracamy uwagę na ilustrowany dwutygodnik krakowski „Świat“, który mianowicie pod względem artystycznym zasługuje na uznanie najwyższe. Nr. 6 poświęcony pamięci Kościuszki wystawia kierownictwu „Świata“ chlubne świadectwo.

— Na sali hotelu Victoria wystawiono ręczne roboty pań wielkopolskich, przeznaczonych na wystawę lwowską. Artystycznem wykończeniem uderzyły nas mianowicie: Ramki z glinki i kwiaty na atłasie pani P. z Poznania, koronki zakopańskie, parawanik i rzeźby w drzewie panny H. D., hafty ze szkoły panny K. z Gniezna, prześliczne hafty panny K. i pani H. z Poznania, wreszcie wyroby kółek włościańskich. Wystawa wywiera nader korzystne wrażenie.

— Mickiewicza „Pan Tadeusz“ wyszedł nakładem „Macierzy Polskiej“ w 50-tym tysiącu. Cena egzemplarza 20 fen.

— Zmarli. W Warszawie Adolf Bogucki, znany hodowca jedwabników. b. właściel księgarni, w Boguciuie pod Warszawą, prowadził bezpłatnie kursa jedwabnictwa, był jednym z głównych założycieli Tow. Jedwabniczego. — W Stutgarcie. Ludwik Pfau, znakomity niemiecki krytyk artystyczny, w wieku lat 72. — W Berlinie. prof. Ludwik August Bokelmann, ceniony malarz rodzajowy. Ostatnim z jego dzieł było „Otwarcie Testamentu“. — W Paryżu. L. M. Lay, młody dziennikarz i utalentowany dramaturg.

— W dyrekcyi teatru hr. Skarbka we Lwowie złożono dwie nowe opery: „Magdusię“ przez p. Helenę Krzyżanowską, uczennicę konserwatoryum paryskiego, i „Rzeczpospolitę babińską“ przez M. Sołtysa, profesora konserwatoryum lwowskiego. Znawcy, którzy mieli sposobność zapoznać się z obu utworami, oddają im wielkie pochwały. Do pierwszej napisał libretto p. Hipolit Świejkowski, do drugiej, panowie: Kiczman i Antoni Jastrzębiec Popławski.

— W zeszycie marcowym czasopisma berlińskiego „Kunst-Salon“ znajdujemy czwarty już z kolei, obszerny artykuł p. Ignacego Suessera o sztuce polskiej. Utalentowany krytyk zdaje w nim sprawę z wystawy pośmiertnej prac Matejki w Muzeum Narodowem, oraz z działalności artystycznej Wincentego Wodzinowskiego, Józefa Krzesza i Aleksandra Gierymskiego. Nadto ocenia najświeższe obrazy: Wojciecha Gersona, Władysława Nałęcza, Ludwika Stasiaka, Machniewicza, Stanisława Janowskiego, Pilichowskiego, Stanisława Wyspiańskiego, A. Wierusz-Kowalskiego, ś. p. Włodzimierza Łuskiny, tudzież utwory dłuta Mieczysława Zawiejskiego.

— Dr. Henryk Monat pomieścił w feljetonie praskiego dziennika „Polittk“ udatnie nakreślone opowiadanie (p. t. „In der Schweiz“) o pobycie Juliusza Słowackiego w Szwajcaryi.

— Dzienniki angielskie donoszą, że dziewięcioletni(!) Raulek Koczalski napisał operę p. t. „Agar“.

— W czasopiśmie paryskiem „Le Correspondant“ ukazał się przekład nowelli H. Sienkiewicza „Pójdźmy za nim,“ dokonany przez znającą dobrze nasz język baronową E. de Baulny, córkę Eugeniusza Rouhera, głośnego ministra z czasów drugiego cesarstwa.

— Sejm krajowy przeznaczył do rozporządzenia Wydziału krajowego 10,000 złr. na zakupienie szkiców i rysunków śp. Jana Matejki, tudzież należących doń niegdyś strojów historycznych, uzbrojeń i rynsztonków, z przeznaczeniem wszystkich tych nabytków do powstać mającego w Krakowie muzeum zmarłego mistrza. Ze sprawozdania dyrektora Fr. Sleka, dowiadujemy się, że komitet zajmujący się kupnem domu Matejki, w którem ma być pomieszczone wspomniane muzeum, zebrał drogą składek przeszło 10,000 złr., w gotowiźnie, w drodze zaś subskrypcyi 4,573 złr. Pragnąc, aby instytucya zawdzięczała swój byt wdowiemu groszowi całego społeczeństwa polskiego, udał się komitet do ks. arcybiskupa Stablewskiego z prośbą, aby raczył poprzeć w swej archidyecezyi jego usiłowania i zabiegi.

BIBLIOGRAFJA.

— Szczęsny Morawski. Po Jantar. Kraków 1894.

— Pisma Jordana (Juliana Wieniawskiego) Kraków. Nakład F. Gebethnera i Sp. 1894.

— Adam Szymański. Jak siać, aby i praca ludzka i ziarno nie szły na marne? Ważne wiadomości o siewie dla użytku i najmniejszych i największych gospodarstw. Poznań 1894. Cena 45 fen.

— K. Frenzl. Prawa kobiety. Powieść przełożona z niemieckiego przez Maryą ***. Kraków 1894 w 8-ce, str. 177. Cena złr. 1,50.

— B. Szaniawski. Dzisiejsze małżeństwa. Warszawa 1894. Cena 60 kop.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Satyrowi. Humoreski o „starym przyjacielu“ zamieścić nie możemy ze względu na zaniedbanie formy i wielką przejrzystość aluzyi. On, „umysłowa nicość stworzył królestwo miernoty.“ Brawo! Na zdanie to godzimy się najzupełniej.

— Wielkopolance (stempel pocztowy „Targowa Górka“). Dziękujemy za tak energiczne poparcie poglądów naszych. List prześliczny, ale zamieścić go nie możemy, ponieważ postanowiliśmy na razie sprawy tej już nie poruszać. Życzeniu Szanownej Pani, aby korespondencyą przesłać ewentualnie „Dziennikowi Pozn.“ nie czynimy zadość z tego powodu, ponieważ organ ten zamknął również łamy swoje dla artykułów w tej sprawie nadsyłanych. Zresztą nie przyjął „Dziennik Pozn.“ odpowiedzi Rastawicy na artykuł p. dr. Jackowskiego, a tem samem dowiódł, że etyczną zasadą „audiatur et altera pars“ pogardza.

— Wielkopolance (stempel pocztowy Jarocin). Prosimy przeczytać co napisano powyżej. Za uznanie przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“

— Panu St. K. Artykuł nadesłany jest w części dosłownem tłumaczeniem, a w części przeróbką pracy zamieszczonej w „Magazin für in und ausländische Litteratur“ w r. 1889. Powędrował zatem do kosza.

Odpowiedzi Administracyi.

— Ogłoszenia przyjmujemy tylko do każdej środy, godz. 12-ej w południe.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.